

Streszczenie

Urodzony w 1926r., syn urzędnika kolei, kapitana rezerwy, osiadłego na posiadzie w dyrekcji kolei w Wilnie. Rówieśnik i kolega Konwickiego. W czasie kolejnych etapów wojny cały czas w Wilnie i Kolonii Wileńskiej, najpierw uczeń gimnazjum, potem, podczas okupacji niemieckiej, pracuje, chroniąc się przed wywózką na roboty do Rzeszy. Określa rzeczywistość wojenną jako szarą. Bez większych osobistych i rodzinnych wstrząsów (poza krótkim aresztowaniem ojca w grupie zakładników, wkrótce wykupionego) uczestniczy w tajnym nauczaniu i tajnym harcerstwie. Marzy jako podrostek o partyzantce owianej legendą. Ostatecznie idzie do niej (należałoby raczej powiedzieć: ociera się się o nią) w lecie 1944 jako niespełna osiemnastolatek, najpierw do brygady oszmiańskiej (króciółtko), potem do Szezerbca tuż przed aresztowaniem dowództwa. Nie przeżywszy żadnej akcji, po marszu i agrupowaniu w Puszczy Rudnickiej, wraca, zwolniony jak inni, do domu. Sfałszowane dokumenty (wyrobione przez siostrę, która cały czas działała w konspiracji), chronią go przed mobilizacją do Armii Czerwonej. W listopadzie 1944 aresztowany przez NKWD i osadzony najpierw na śledztwie w więzieniu na Słowackiego, potem na Łukiszkach. W sierpniu 1945 bez sądu, z kolejnym transportem więźniów wywieziony z Łukiszek do Workuty. W obozach workuckich - mniejszych i większych - w tym w Reczłagu Szu 2, obozie o wzmocnionym reżimie obsługującym kopalnię, przebywa do grudnia 1951. Kilkakrotnie, kompletnie wycieńczony, w szpitalach obozowych. Po trzech latach od aresztowania powiadomiony w biurze obozowym o zaoocnym wyroku tzw. "trójki" - 7 lat za zdradę ojczyzny i organizację podziemną. Wypuszczony na wolne osiedlenie pracuje w kopalni m.in. jako strażowy. Żyje w bliskich kontaktach z gronem Polaków, tworzących zarówno w obozie jak na wolnym osiedleniu solidarne grupy. Wczesnym latem 1956, po staraniach, wraca przez Moskwę do Polski, do rodziców zamieszkałych pod Bielskiem. Zdaje, po perypetiach, egzamin na geologię na AGH w Krakowie.

STANISŁAW DUŻNIAK — nagrywał *Wiestaw Krasnodębski*

Urodziłem się w Krakowie w roku 1926. Nazywam się Stanisław Dużniak. Ojciec mój, Józef Dużniak był oficerem rezerwy, kapitanem 1 pułku piechoty w Krakowie. W Krakowie mieszkałem do 1934 roku. Rozpocząłem naukę w szkole podstawowej. W 1934 roku ojca przeniesiono do rezerwy. Miało tu prawdopodobnie ^Wzaczenie to, że ojciec był zdecydowanym antypiłsudczykiem. W tych latach kadre zawodowych oficerów nie będących zwolennikami Piłsudskiego, przenoszono do rezerwy.

- Czy rzeczywiście to miało takie wyraźne...

- Tak, tak. Może to nie była, powiedzmy, taka straszna masówka, ale tak było. Ojciec miał wtedy 42 lata, więc do rezerwy nie powinien był iść.

- Są przykłady, że awansowali jego wrogowie, którzy w maju...

- Tak, są. Ojciec był nawet w szkole dla oficerów sztabowych w Rembertowie mimo takich poglądów. Ale wtedy tak było i to była jedna z przyczyn. Wiem, bo ojciec o tym mówił. Z tym, że przenoszono do rezerwy lub dawano możliwość pracy. Nie załatwiano tak jak dzisiaj ludzi, którzy nie byli zgodni z państwowym głównym nurtem. I ojcu zaproponowano posadę na kolei. Z tym że prestiżowo i finansowo to nie było jakieś poniżenie, wprost przeciwnie. To był pewnego rodzaju awans. Ja to chcę podkreślić, żeby nie było jakichś aluzji, że ojciec był prześladowany. Bo to nie, broń Boże. Kolejarze to była elita przedwojenna i ojciec dostał wysokie stanowisko. Zarabiał więcej niż kapitan zawodowy (żeby tu ktoś źle nie zrozumiał, że...) ok 600 zł. jako kapitan, nie pamiętam dokładnie, a na kolei 800 zł. Był kierownikiem działu personalnego w dyrekcji kolejowej. Myśmy przyjechali do Wilna. Ja tutaj uczyłem się dalej w szkole podstawowej, a siostra chodziła do gimnazjum Elżby Orzeszkowej w Wilnie. Ja chodziłem do szkoły podstawowej rządowej, nie prywatnej (tu cho-

dziła raczej elita), więc miałem możliwość zetknięcia się z dziećmi różnych warstw społecznych. Finansowo powodziło się nam bezwzględnie dobrze. Jeśli chodzi o obraz Wilna, jaki sobie przypominam po tylu latach, to był to dość kontrastowy obraz w stosunku do tego, jaki we wspomnieniach pozostawił Kraków. Przede wszystkim Wilno miało bardzo urozmaicony skład narodowościowy. W samym mieście przeważali Polacy i Żydzi. To było gros społeczeństwa wileńskiego. Ale oprócz tego byli Rosjanie, Białorusini, była także niewielka społeczność litewska. Ja mieszkając w Wilnie dziesięć lat, języka litewskiego nie słyszałem ani razu, tak nawiasem mówiąc.

- Nie wiedząc o tym, pan dosłownie powtórzył to, co parokrotnie słyszałem. Dosłownie - nie było słychać języka litewskiego.

- Nie, nie. Z tym że ja wiedziałem (mówię o tym, bo te sprawy są teraz często poruszane - zastrzegam się, że mówię o samym Wilnie), że mieli swoją księgarnię koło kościoła św. Jana, mieli swój kościół, chyba gimnazjum, więc wydaje mi się, że swoje potrzeby tzw. kulturalne mieli zabezpieczone.

- Dwa procent podobno ich było...

- Jedyne Litwin, jakiego spotkałem bezpośrednio, to był harcerz litewski. To było już w czasie kopania rowów przeciwlotniczych w czasie wojny. Zadziwił mnie, bo miał dosyć jaskrawy mundur (było tam dużo czerwieni i zieleni) i wówczas spytałem go, kim jest. I on powiedział, że jest harcerzem litewskim.

W Wilnie skończyłem szkołę podstawową i chodziłem do słynnego gimnazjum Zygmunta Augusta. To gimnazjum, słynne nie tylko w Wilnie, to było to samo, które ukończył Miłosz i do którego chodził także Tadeusz Konwicki, który był w tej samej klasie co ja, byliśmy równo-
latkami. Skończyłem pierwszą klasę tego gimnazjum i miałem zacząć drugą, gdy wybuchła wojna. Bo to był pierwszy wrzesień. Początkowo, to my, tacy chłopcy kilkunastoletni, tośmy się cieszyli, że pokonamy szybko Niemców, że to będzie piękna zabawa. Potem to się okazało

zupełnie inne. Z przeżyć wojennych pamiętam te pierwsze wiadomości o obronie Westerplatte, a potem kolejne doniesienia, z których wynikało, że tę wojnę przegrywamy. Z tym że ciągle liczyliśmy na tę pomoc, że Anglia, Francja pomoże. Krótko mówiąc, to były dni tragiczne, ale było jeszcze wtedy dużo nadziei. Pamiętam z tych pierwszych tygodni wojny dobrze tylko swego ojca, który gdzieś tak 16, 17 września, może później, 18 września, był jakoś dziwnie smutny. Ja sobie wówczas nie zdawałem sprawy, dlaczego ojciec jest taki dziwny. Później się okazało, że ojciec pracując w dyrekcji kolei, wiedział o przekroczeniu granicy przez wojska sowieckie. I powiedział nam o tym (bo to była tajemnica służbowa), dopiero w dniu, w którym było wiadomo, że te wojska zbliżają się już do Wilna. [Ten dzień pamiętam dobrze. Trudno mi powiedzieć, jaką to była data, ale moment, gdyśmy się o tym dowiedzieli to był chyba najtragiczniejszy momentz historii, z całych wspomnień okupacyjnych, a nawet obozowych. Śmiało mogę powiedzieć, bo w tym momencie zrobiło się jasne, że Polska będzie w niewoli. Może to napuszone słowa, ale to było okropne. Wie pan, jak sobie przypomnę... (załamanie głosu, wzruszenie).

Tak. No i przyszli Sowieci. Wyglądali okropnie. W tych budionnówkach, brudni, na szkapach. Coś strasznego, jak ta armia wyglądała! To nawet nie dlatego, że się czuło do nich nienawiść, ale naprawdę ta armia wyglądała okropnie. W dyrekcji kolejowej, gdzie pracował ojciec, jeszcze przed przyjściem Armii Radzieckiej, dyrektor Głazek zebrał wszystkich urzędników i mówił o tym, że są przygotowane wagony specjalnie dla urzędników dyrekcji i ich rodzin, którym można pojechać przez Litwę, że jest zamówiony statek, którym się potem można przedostać do Szwecji. Jeśli ktoś z urzędników chce z tego skorzystać, to proszę bardzo. Nie wiem, czy ktoś z tego skorzystał. Większość ludzi się pytała dyrektora, co on zamierza zrobić. Dyrektor Głazek powiedział wtedy, że on nie czuje się winny i dlatego może

zostać. Uważa, że nic mu nie grozi. Niestety, życie pokazało coś zupełnie innego, bo Armia Radziecka była w Wilnie od końca września do października, ale w tym czasie więzienia się zapełniły. I właśnie jednymi z pierwszych ofiar w Wilnie byli wszyscy wyżsi urzędnicy dyrekcji kolejowej. Dyrektor Głazek, wicedyrektor, wszyscy naczelnicy wydziałów, zostali aresztowani. Ojciec mój prawdopodobnie przez przypadek nie został aresztowany, bo był kierownikiem oddziału, nie działu i NKWD prawdopodobnie nie wiedziało, że takie stanowisko istnieje. Tak że ojca nie zaaresztowano, mimo że był w domu, ale wszystkich kolegów ojca poaresztowano. Niestety, trudno mi powiedzieć, ilu z tych ludzi wróciło, ale przynajmniej połowa zginęła w łagrach radzieckich.

- To ich od razu wywożono?

- No, z początku więzienie, ale bardzo krótko. Po bardzo krótkim pobycie w więzieniu ich wywożono, bo w październiku, jak przyszli Litwini do Wilna, już ich nie było.

- A czy znane są z grubsza trasy...tam...

- Tak, tak. Ich wywożono w rejon Archangielska, i również tu, w rejon Komi. Były dowody na to, że część ich mieszkała w Uchcie. Nie wykluczone, że i pracowali przy budowie linii kolejowej Kotłas-Workuta, która była budowana w roku 1939 i 40. Warunki wówczas w obozach były wyjątkowo ciężkie. Przede wszystkim byli to w większości ludzie ze sfery inteligenckiej, tak to nazwijmy, nie przyzwyczajeni do pracy fizycznej i w większości ludzie gdzieś po czterdziestu pięciu latach, a nawet po pięćdziesięciu latach, Tak że żniwo śmierci było wtedy dla tych ludzi straszne. Przynajmniej połowa nie wróciła, to co ja wiem.

W Wilnie Rosjanie byli do końca października i Wilno zostało przekazane Litwie. Litewskie oddziały piesze i na rowerach (oni zmotywowanych oddziałów raczej nie mieli), na koniach - zajęły Wilno. Były wypadki, że część tej kolonii litewskiej, może trochę ludności

żydowskiej - witała. Klacy oczywiście Litwinów nie witali. Litwini, to trzeba przyznać, pod jednym względem przynieśli polepszenie sytuacji. w Wilnie, bo przywieźli bardzo dużo żywności. Rosjanie w ciągu dwóch miesięcy wymietli tak żywność, że już z nią były trudności. Litwini zapełnili sklepy. Produkty żywnościowe litewskie były rzeczywiście wysokiej jakości. Litwa słynęła w okresie przedwojennym z eksportu. Jeśli chodzi o żywność, oni konkutowali nawet na rynkach europejskich z Danią. Ale jeśli chodzi o stosunek Litwinów do Polaków był wyraźnie wrogi. Przede wszystkim polegało to na tym, że wyrzucali z pracy wszystkich, którzy nie znali litewskiego, między innymi wszystkich urzędników dyrekcji kolei, ojca mojego również. Wyrzucili nas również Litwini z mieszkania. Bywały utarczki po kościołach z Litwinami, Polacy śpiewali tam Boże coś Polskę. 11 listopada obchodzili na Rosie, gdzie spoczywa serce marszałka Piłsudskiego. Były manifestacje, więc Litwini, powiedzmy, też tam pobili Polaków. Takie były utarczki. Z tym że nie można powiedzieć, żeby Litwini na większą skalę, powiedzmy, rozstrzeliwali Polaków. Tych rzeczy nie było. Ale również na Łukiszki, do tego centralnego więzienia, wielu Polaków się dostało. Tylko że bezwzględnie trzeba powiedzieć, że te akcje w skali swojej nie dorównywały akcjom sowieckim czy niemieckim, to trzeba lojalnie powiedzieć. To było więcej dokuczliwe niż szkodliwe, ot, tak by to można nazwać.

W gimnazjum zmieniło się bardzo. Wyrzucono polskich nauczycieli, na siłę wprowadzono naukę języka litewskiego, dyrektorem oczywiście został Litwin. No i towarzyszyły temu takie nawet humorystyczne rzeczy, bo zmieniali wszystkim nazwiska. Z mojego nazwiska Dużniak, zrobili Dużniakas. miałem kolegę, który był Tom, więc na pierwszej lekcji Litwinka zaraz zmieniła go na Tomas, na następnej lekcji przyszedł następny Litwin, dodał mu jeszcze raz as i był Tomasz. Takie były satyryczne rzeczy. Mnie litewski policjant zerwał czapkę gimnazjalną, na której myśmy przed wojną nie mieli orzełków

tylko taki symboliczny znaczek: otwarta książka i kaganek. Więc mu to również przeszkadzało. Bo jeszcze orzełek, to bym rozumiał, że ta nienawiść antypolska. Ale i ten znaczek mu przeszkadzał, to wzięł, podeptał. Tego typu dokuczliwości były, więcej niż prześladowania.

Myśmy wówczas (bo nas wyrzucono z mieszkania) przenieśli się do Kolonii Wileńskiej, do tej właśnie, w której mieszkał Tadzio Konwicki. I tam z Tadzkiem Konwickim (jak wspominałem kończyliśmy razem pierwszą klasę) chodziliśmy na komplety. Kolonia Wileńska to była taka miejscowość słynna nie tylko z powodu Tadzia Konwickiego. Tam mieszkało wielu ludzi dosyć sławnych. Tam mieszkał Gołubiew w tym czasie, tam mieszkała żona Fiedorfa - Nila, z jej córką chodziliśmy też na komplety, z Marysią. Kolonia Wileńska to była osada domków jednorodzinnych w ogrodach. Mieszkało tam dużo kolejarzy, ale i dużo inteligencji wileńskiej. Słynną postacią w Kolonii był ksiądz Sołtan, proboszcz parafii, który był aresztowany przez Niemców, aresztowany przez NKWD dwukrotnie wywożony i w Rosji również zginął. Drugi raz księdza Sołtana wywieziono i zginął.

Chodziliśmy na te komplety, należeliśmy do harcerstwa no i rwaaliśmy się do partyzantki, no bo... Tu muszę przerwać. Było tak, że po przyjsciu Litwinów (oni przyszli w październiku i do czerwca byli w Wilnie) była to jeszcze tzw. Litwa Smetonowska. W czerwcu 40 roku Armia Radziecka przyszła "wyswobadzać" tę Litwę. Czołgi radzieckie wjechały, rząd litewski uciekł i została proklamowana Litewska Republika Radziecka. Oczywiście ta akcja była była wtedy skierowana nie tylko przeciw Litwie, ale i przeciwko Łotwie i Estonii.

W szkole zmieniło się to, że Armia Radziecka jak przyszła powtórnie (bo to było jej drugie przyjscie) do Wilna, wprowadziła, jeśli chodzi o system szkolnictwa to, że każda narodowość miała swoje szkoły. Bo Litwini jak przyszli, to wszystkie szkoły były litewskie, innych szkół nie było. Natomiast Rosjanie jak przyszli drugi raz, wprowadzili znowu gimnazja polskie, białoruskie, litewskie w Wilnie. I to

to gimnazjum Zygmunta Augusta, które za czasów litewskich zostało zmienione na litewskie, było z powrotem średnią szkołą polską. I wróciła również do gimnazjum część nauczycieli Polaków. Tak. I do tej szkoły polskiej, ale oczywiście pod kierownictwem sowieckim, gdzie ta propaganda sowiecka była oficjalnie oczywiście wprowadzana, chodziliśmy aż do momentu, kiedy wybuchła wojna sowiecka-niemiecka, tj. do czerwca 1941 roku. Rosjanie jak przyszli drugi raz do Wilna, znowu zaczęli aresztować ludzi. Znowu więzienia się zapełniły. Szczególnie nasilenia wywózek miały miejsce w zimie z 40 na 41 rok. Teraz te wywózki miały trochę inny charakter niż w 39 roku. W 39 roku wywożono pojedyncze osoby, a teraz całe rodziny. Bardzo dużo wywieziono wówczas z Wilna uchodźców. Tych ludzi, którzy uciekali tutaj w 39 r. z Krakowa, z Warszawy, z Poznania. Wówczas w zimie tych ludzi całymi rodzinami wywożono w okropny sposób. Można było zabierać tylko ręczny bagaż, ładowano ich do wagonów towarowych i w strasznych warunkach wywożono głównie do Kazachstanu. Drugie nasilenie wywózek w Wilnie rozpoczęło się końcem maja początkiem czerwca 41 roku. Te wywózki zostały przerwane przez wybuch wojny radziecko - niemieckiej, tak że ta wojna w jakiś sposób część ludzi uratowała. Również więzienie Łukiskie w tym czasie było wywożone, z tym że o ile ja wiem, to albo większość, albo i wszyscy więźniowie z Wilna zostali uratowani, bo transport, który miał ich wywieźć w głąb Rosji, został przez kolejarzy polskich rozładowany, wagony zostały otwarte (to już był taki okres że Armia Czerwona uciekała w panice), już tych wagonów nikt nie pilnował i ci ludzie zostali po prostu uratowani. Znam dosyć dobrze tę całą akcję kolejarzy polskich, bo wówczas siostry mojej koleżanka Marysia Szlachtowska została z tego transportu uratowana.

No i zaczęła się okupacja niemiecka. Początkowo ta okupacja niemiecka tu na terenach wileńskich była łagodniejsza niż okupacja niemiecka w Guberni. Aresztowania były sporadyczne, krótko mówiąc ta sielanka trwała. Ale dosyć krótko. Później w Wilnie zaczęła się nasilać konspiracja, więzienia zów się zaczęły zapełniać, no i zaczęła

powstawać partyzantka, ta słynna partyzantka wileńska.

- Czy tak od razu? Mnie się wydaje, że trochę później.

- To nie było tak od razu. Mnie jest trudno powiedzieć w tej chwili, bo ja nie byłem żadnym działaczem, ja byłem pionkiem, więc trudno mi powiedzieć...

- To znaczy, przez partyzantkę rozumiem jakieś tam samodzielne oddziały...

- Tak, mnie się wydaje, że jak oni przyszli w lecie 41, to pierwsze oddziały były chyba w 42 dopiero. Ale ja na ten temat nie chcę się wypowiadać, bo nie znam tego dokładnie, więc ja tu chyba troszkę upraszczam sprawę.

Z akcji antypolskich kierowanych przez Niemców a wykonywanych w dużym stopniu przez Saugumą, tzn. przez gestapo litewskie (bo Litwini od razu, można powiedzieć, włączyli się, oczywiście nie wszyscy, część Litwinów włączyła się do "współpracy z Niemcami") pamiętam tę słynną akcję aresztowania 100 zakładników. To wyglądało w ten sposób, że został zastrzelony jeden z agentów Saugumy i w odwet za to Niemcy (ale bezpośrednimi wykonawcami byli Litwini) Sauguma aresztowała 100 zakładników. Znam to dość dobrze, bo po mojego ojca przyszli w nocy. Więc ta cywilna policja, która przyszła po ojca - to byli Litwini. Wtedy wzięto 100 zakładników, z których 10 od razu rozstrzelano, m.in. dra Pelczara. To był znany, światowej sławy, specjalista onkolog. Wówczas była nawet interwencja światowego Czerwonego Krzyża, ale już było za późno. Później, po rozstrzelaniu na Łukiszkach co dziesiątego (a brali ich na oczach, ojciec mi opowiadał), wieźli w kierunku Ponar. Między innymi z Kolonii Wileńskiej wtedy ojca aresztowano i księdza Sołtana również. Wieźli ich w kierunku Ponar. Ponary to było takie miejsce, gdzie rozstrzeliwano Żydów masowo i ci ludzie byli pewni, jak ojciec mówił, że ich również rozstrzelają. Z tego transportu udało się jednemu więźniowi zbiec. To było ciekawe dosyć, bo on wyskoczył z samochodu i strażnicy wsko-

czyli z ciężarówki chcąc go gonić. Jeden z nich wyskakując zgubił MPI. I ten więzień jeszcze miał na tyle zimnej krwi, że się cofnął i uciekł im do lasu razem z MPI. To jest dosyć rzadki wypadek, żeby człowiek uciekając, zdecydowany na to, żeby w jednym kierunku biec - potrafił się cofnąć, wziąć MPI, uciec do lasu. Ojciec to widział. I go nie złapali. Człowiek ten przeżył wojnę, nie wiem, czy do dziś żyje, ale mieszkał ostatnio w Krakowie. Nie znam jego nazwiska, ale rozmawiałem z panem Klotem, który był również więziony do Parwianiszek (bo ich do Parwianiszek potem zawieźli) i on to potwierdził. To był jego znajomy. To jest bardzo ciekawe, nie słyszałem o przypadku, żeby ktoś uciekając cofnął się w drugą stronę. Tak. Ich zawieźli do Parwianiszek, tam Litwini się nad nimi dosyć znęcali, bili, głodowali. To był normalny obóz koncentracyjny. Ojca udało nam się wykupić. Siostra moja, która znała dobrze język niemiecki, pojechała do tego obozu. Za kilka czy kilkanaście metrów materiału jeszcze przedwojennego (bo rodzice to mieli) ojciec został wykupiony. I później, po jakimś miesiącu czy półtora miesiąca wypuścili wszystkich, bo się okazało, że tego gestapowca zastrzelił kolega, to była sprawa o jakąś kobietę. Więc ich wypuścili. Między innymi oprócz księdza Sołtana tam siedział profesor Dembowski. To był pierwszy marszałek sejmu w Polsce Ludowej, taki komunizujący pan.

Wracając do tych naszych młodzieżowych przeżyć okupacyjnych. Myśmy bohaterami nigdy nie byli, chodziliśmy na te komplety z Tadzie Konwickim, z Marysią F , córką generała, był jeszcze kolega Nar-gutek Klementowicz i jeszcze jedna dziewczynka, której nazwiska w tej chwili nie pamiętam, czyli było nas 5 osób. Z tych kompletów pamiętam panią, która nas polskiego uczyła, pani Kasia Piotrowiczówna. Ona była działaczką, drużynową drużyny żeńskiej w gimnazjum Orzeszkowej w Wilnie, naprawdę oddana i dzielna kobieta. Myśmy należeli do harcerstwa, do tych podziemnych Szarych Szeregów, z tym że na terenie wileńszczyzny nie było to żadne bohaterstwo ani chodzić na ko-

mplety, ani należeć do harcerstwa. Myśmy się do jakiś czas spotykali na tych zbiórkach i to było wszystko. W tym okresie zaczęły powstawać oddziały partyzanckie. No, sława, legenda tych oddziałów, może nawet przewyższała to, co było w rzeczywistości. Myśmy się do tych oddziałów rwali oczywiście, mieliśmy wtedy po 16, 17 lat. Z tym że nam mówiono zawsze, że myśmy nie powinni iść do lasu, że w lesie już jest dość ludzi, powinniśmy się raczej uczyć, inteligencja będzie potrzebna po wojnie i że to jest w tej chwili ważniejsza sprawa. A jeśli chodzi o walkę zbrojną, to kiedy nas wezwą, a myśmy się powinni raczej uczyć. No, to nam oczywiście nie bardzo odpowiadało, myśmy dwa razy uciekali do tej partyzantki. Raz już byliśmy na punkcie kontaktowym, o krok od tego, żeby być w oddziale, nasz drużynowy się dowiedział, przyszedł na ten punkt i nas wycofał. Tak że na tym się to nasze bohaterstwo skończyło. Miałem wtedy 17 lat.

- Czy coś z tej atmosfery zostało w książkach Konwickiego?

-Tak, on tam wspomina. On też krótko wspomina. No, myśmy się rwali do tej partyzantki. To były i patriotyczne względy, ale, wie pan, jak ktoś nie był partyzantem to nie mógł dziewcząt podrywać, były i takie względy. Siedemnaście lat człowiek miał, więc to nie było takie czyściutkie, że tak powiem, tylko patriotyczne i walka. Takie względy też dochodziły do tego.

- Panie Stanisławie, mnie się wydaje, że pan myli partyzantkę z siecią konspiracyjną, która najpierw powstawała, bo partyzantka de facto zaczyna się od grupy ludzi związanych ze Szczerbcem, którzy się spalili na skutek wyspy i trzeba było ich po prostu wysłać w teren. A to jest wiosna 43. To jest również ewentualnie Kmicic, też wiosna 43. A sieć powstała wcześniej. I akcje tam doraźne były, ale nie było zwartych oddziałów partyzanckich.

- No były, były. Tam koleżanka... Wie pan, mnie jest trudno powiedzieć dokładnie, kiedy partyzantka się zaczęła. Możliwe...możliwe - EH
znaczy, pan na pewno ma rację, bo w pierwszym roku okupacji na pewno nie było, to znaczy do 42 roku. Na przełomie 42-43 tak gdzieś się za-

częło, to był Szczerbiec, to ja tyle też wiem. To było chyba na wiosnę 43, chyba tak. Wie pan, z tych akcji konspiracyjnych (a ja z konspiracją nie byłem związany oprócz tego harcerstwa) to wiem o sprawach ogólnych. Gazetki podziemne wychodziły, siostra przynosiła i ojciec przynosił, czasem mieliśmy od kolegów. Z tych akcji pamiętam akcję na Wyleżyńskiej. To była koleżanka mojej siostry i to była agentka gestapo. Na nią były dwie akcje. Raz ją gdzieś w guzik trafili, drugi raz też jakoś uciekła, a za trzecim razem ją zastrzelili. To pamiętam z tych akcji. Może to był już okres partyzancki, nie wiem, trudno mi w tej chwili powiedzieć.

- Świadkiem bezpośrednim pan nie był?

- Nie byłem, tylko ze słyszenia znałem. Wiadomo było, że coś się dzieje, powiedzmy. Były areszty ludzi, którzy trafili na Łukiszki do więzienia. Ja zaznaczam, nie byłem w jakiejś konspiracji, więc mnie jest trudno powiedzieć obiektywnie czy nawet nie obiektywnie o tych rzeczach. Byłem po prostu widzem i ze słyszenia znałem, tak by to można powiedzieć. Za okupacji ja pracowałem w takim tartaku, to się nazywało Hersbautinstelle, zresztą ojciec też tam pracował. To było przedsiębiorstwo budowlane robiące baraki dla wojska. Plusem tej pracy było to, że człowiek był zwolniony od wyjazdu do Niemiec, bo masowo ten Arbeitsamt rejestrował i wywoził młodych ludzi do Niemiec. To dawało mocne papiery, tak że można było śmiało chodzić. No i właściwie te dni okupacyjne były takie jednostajne...było to aresztowanie ojca, słyszało się o tych akcjach od czasu do czasu gdzieś w mieście, jak jakiegoś agenta strzelano, ale o większych akcjach w Wilnie nie słyszałem. Zresztą ja byłem tym siedemnastoletnim chłopcem, nie konspiratorem. Była akcja na aptekę, była akcja odbicia więźniów z Łukiszek, były takie akcje, ale na pewno nie miało to takiego charakteru jak w Warszawie, gdzie były ciągłe akcje. To na pewno nie. Później, jak się zaczęły partyzantki, na większą skalę zaczęła się działalność podziemia polskiego. Te partyzantki były mocne na Wileńszczyźnie, dochodziło do tego, że Niemcy, powiedzmy, w promieniu 10 kilometrów

jeszcze od miasta odchodzili, a gdzieś tak 15, 20 to już się bali iść. Wtedy były też te słynne akcje Plechanowiczusa (już później), tych oddziałów litewskich, które walczyły z oddziałami, z partyzantkami polskimi. Była ta słynna akcja, kiedy to te oddziały Plechanowiczusa zostały rozbite, tych oficerów Plechanowiczusa tam rozstrzelano a resztę zostawiono w hełmach i kalesonach, oddano strzały do góry i oni przylecieli potem do Wilna, po prostu wykpieno ich.

To się tak mówi, ale były straszliwe mordy jeśli chodzi o Żydów. To było coś okropnego. Tam były nawet jakieś próby w getcie (ze słyszenia wiem), jakieś akcje, miało być coś w rodzaju powstania, jak w Warszawie. Tylko to nie wyszło w wileńskim getcie. I wileńskie getto zlikwidowano, i tę ludność z okolicznych miasteczek żydowskich też zlikwidowano. To wszystko w Ponarach likwidowano. Więc to było okropne. Ja tylko pamiętam, jak likwidowano ostatnie resztki getta. To była taka kamienica, tutaj, na przedmieściach Wilna, w rejonie ulic Subocz i Antokola. W tej kamienicy mieszkały resztki Żydów. Byli to jacyś rzemieślnicy, którzy jeszcze pracowali dla Niemców i policjanci żydowscy. Tych likwidowali ostatnich. Myśmy z Tadiem szli do szkoły (nie, nie do szkoły, bośmy już wtedy do szkoły nie chodzili. Za Niemców już żadnych polskich gimnazjów nie było, w ogóle Polakom nie wolno się było uczyć. To się skończyło. Tak że myśmy wszyscy pracowali. Do średnich szkół chodzili tylko Litwini i Białorusini. Polakom nie wolno było chodzić. Już jak ktoś za Niemców chodził do szkoły średniej nie był Polakiem). I myśmy widzieli tylko miejsce postoju tych Żydów z tej ostatniej kamienicy. Wyglądało to okropnie: morze kału, jakichś strzępów papieru, coś okropnego. Tam Niemcy ich trzymali jeszcze chyba z 24 godziny w takim strasznym śmietniku. To pamiętam z ostatnich likwidacji Żydów.

n - A kto był wykonawcą wyroków?...

- O ile ja wiem, to Litwini strzelali. Niemcy tylko filmowali. Ale

też, wie pan, trudno mi powiedzieć, bo ja to wszystko znałem ze słyszania. Ludzie opowiadali. Były pojedyncze wypadki, że tym Żydom udało się uciec, ale...Więc to są takie strzępy...cośmy widzieli...

Wracając do tego, cośmy robili. Jeśli chodzi o jakąś działalność konspiracyjną, tośmy specjalnie nie działali, byliśmy w tym harcerstwie, z tej partyzantki wycofano nas dwukrotnie, no i potem, cóż...Zaczęła się ta Armia Radziecka zbliżać pod Wilno. I wówczas w Kolonii Wileńskiej pierwszy raz na własne oczy zobaczyłem partyzantkę. Szczerbiec wszedł do Wilna. W Wilnie Szczerbiec miał szpital. W Wilnie wtedy spotkałem kolegów, którzy w Szczerbcu byli.

- Ale w akcji Burza nie brał pan udziału?

- Więc proszę pana brałem i nie brałem. Mogłbym powiedzieć, że brałem, ale tak naprawdę to nie brałem. Myśmy już wtedy nikogo nie pytali i polecili do partyzantki. Kolonię Wileńską jak zajmowali, tośmy nie brali udziału. Wtedy była ta słynna akcja Ojca (to był chyba plutonowy ze Szczerbca). Oni zaatakowali pociąg na stacji w Kolonii Wileńskiej i tam chyba kilkunastu tych partyzantów zginęło, między innymi ten Ojciec zginął; myśmy ich potem grzebali koło kościoła w Kolonii Wileńskiej.

A myśmy z Tadzkiem poszli - to była brygada Tura, 8 Brygada Oszmiańska. Też w Wilnie stała. Myśmy do tej brygady poszli, tam oczywiście, jak to zawsze bywa w polskich powstaniach, więcej było ludzi niż karabinów. Żadnego karabinu nie dostaliśmy. Siedzieliśmy tam w zagajniku, ja wiem, pół kilometra od domu. No i ten Tur mówi, że będzie teraz akcja na bunkry niemieckie. Człowiek w ogóle nie miał pojęcia o żadnej walce, o strzelaniu, o niczym. Któryś tam z tych oficerów Tura powiedział, że mam być takim łącznikiem, no i czekaliśmy. No ale do tej akcji nie doszło i nic nie zrobiliśmy. Siedzieliśmy tam, w tym lesie i na tym się moja walka o Wilno skończyła.

- Ale Konwicki pisze, że gdzieś tam trochę pohukał...

- Wie pan, u tego Tura siedzieliśmy, a mieliśmy przed sobą linię

kolejową. Widzieliśmy tę linię kolejową. My z Tadzkiem mówimy: jak tu już siedzimy i nie idziemy na te bunkry, to chodźmy chociaż i rozkręćmy tę linię kolejową, bo tam transporty niemieckie jeżdżą. No tośmy poszli, to Tadzio opisuje tutaj. Poszliśmy tam na tę linię kolejową, rozkręciliśmy te tory - to nie jest taka szybka robota: trzeba te szyny porozkręcać, porozrzucać... Jak byliśmy już dobrze zaangażowani w to rozkręcanie, nadjechał pociąg pocerny no i zaczął po nas haratać. To wtedy pierwszy raz usłyszałem, że kule świszczą. No i uciekaliśmy tam spod tej linii kolejowej. Potem się dowiedziałem, że tam byli ranni. Wie pan, bo myśmy nic nie wiedzieli - każdy tylko patrzył, żeby uciekać. Co było robić. Uciekliśmy z tego lasu - to tu Tadzciu pisze. Tam Sokół, czy jak on się nazywał, partyzant, który gdzieś w szczękę dostał jakeś tam byli. Ale myśmy nie mieli karabinów ani nic. Wróciliśmy do tego lasu, no i potem nie było nic, nie było dalej nic. Ja do domu wróciłem i nie wiem jak to było. Aha, jak wróciłem do domu, to koledzy przyszli ze Szerbca i opowiadali. Opowiadali... wie pan co, to nawet wstyd tu mówić. Bo opowiadali o akcji na Belmont, tam ludzie poginęli... Tylko tak jak oni to opowiadali, to mój ojciec, który był starym frontowcem, powiedział, że chyba oni w ogóle nie byli nigdzie. Tu trzeba, proszę pana, trochę sito stosować. Ja nie twierdzę, broń Boże, że tam ludzie nie poginęli i wielu bohatersko się zachowywało. Ale fanfaronady i takiej próżnej gadaniny było dosyć dużo. Oni opowiadali, jak to widzieli, jak głowy ludzkie latają w powietrzu... Mój ojciec mówi: słuchaj, oni nigdzie nie byli, oni się od razu musieli zadekować. Broń Boże nie chcę mówić, że nie było bohaterskich czynów i że nie było ludzi, którzy ginęli, bo w akcji na Wilno kupa ludzi zginęła i na tym Belmontie też kupa ludzi zginęła. W Wilnie, gdzie moja siostra pracowała w szpitalu partyzanckim, było kilkudziesięciu rannych chłopaków. A przecież i u nas MŁ w Kolonii Wileńskiej na szpitalu leży 12 czy 14 chłopaków, którzy zginęli tylko w akcji z tego Ojca. Więc broń Boże, żeby ktoś nie rozumiał że... Tylko uważam, że umiar powinien być.

- To znaczy, dotyczy to tych konkretnych opowiadających.

- Tak, tak, tak. I potem znowu była jakaś taka przerwa. Bo dowództwo radzieckie...Z początku myśmy mieli też i opaski biało-czerwone, pokazywaliśmy im nawet, gdzie Niemcy mieli takie składowisko amunicji i ci żołnierze radzieccy bardzo się elegancko zachowywali, to byli przyjaciele...Potem to jakoś osłabli...trudno mi teraz powiedzieć...Wiem, że ja wróciłem z jeszcze jednym kolegą z tej brygady oszmiańskiej, przyszliśmy do domu. Już wtedy musiały być jakieś sygnały, że coś się w tej akcji porwało (trudno mi to w tej chwili odtworzyć), bo przecież ten Tur nam pozwolił iść do domu. Myśmy sami nie chcieli, a on nas puścił do domu. To trwało jakieś 5, 6 dni. Po tych 5, 6 dniach przyszedł kolega, to był Brzoza (tak się chyba nazywał) ze Szczerbca. To był kolega mojej siostry. Potem chyba zginął. Ja miałem wówczas 17, 18 lat, a siostra 22, 23. To pokolenie różniące się 4, 5 lat, ono zupełnie inaczej...Myśmy byli tacy... takie jeszcze prawie dzieci jeszcze nie dorośli...takie szczawiki. A gros w tej partyzantce to byli ludzie 22, 23 lata. 16, 17, to trochę za młodzi byli (znaczy byli i 14letni, ale to za młodzi byli). No i ten Brzoza przyszedł i powiedział: to wstyd, chlera, co ty się tu dekujesz, czy co? - mówi - siedź tutaj. Ojciec mój wtedy mówi tak, ja zapamiętałem dobrze, jak ojciec powiedział:- Wie pan, ja nie chcę żeby mój syn się dekował, ale uważam, że teraz jest najmniej odpowiedni moment do pójścia do partyzantki. Pamiętam słowa ojca: - Uważam, że gdyby rzeczywiście ojczyzna tego wymagała, syn powinien iść, ale teraz, wie pan, jest sytuacja niejasna, więc ja sądzę że syn...To jest moje zdanie, on ma teraz 17, prawie 18 lat, niech decyduje sam, niech decyduje się jak chce. -

No, ja oczywiście nie zgodziłem się z ojcem i poszedłem. Chociaż uważam, że ojciec miał wtedy zupełną rację. Bo to był kompletny bezsens wtedy iść. To chyba żeby powiedzieć "no, nie jestem gorszy od innych". Ale naprawdę motywów poważnych wtedy nie było. Bo to się już wszystko rozwalało. To już naprawdę trzeba się było konspirować, ewe-

ntualnie iść na pomoc, bo wtedy powstanie warszawskie się zaczęło. Tak to co innego, ale nie siedzieć tam. No ale to jest moje prywatne zdanie. W każdym razie ja poszedłem i poszedłem do Szczerbca. Tam mnie Brzoza zaprowadził, do Szczerbca, dali mi tam od razu mauerera, karabin elegancki, co tam było niemile widziane, bo broń się powinno zdobywać, a nie tak, że ktoś nie ma żadnego doświadczenia w walce i od razu karabin dostaje. No ale dostałem ten karabin. Z kolei później tam mieli karabin maszynowy, bardzo ciężki, którego nikt nie chciał nosić. A to byli wszystko partyzanci bardzo ważni, a myśmy tam nic jeszcze nie zrobili, więc musieliśmy nosić ten karabin na plecach. Bo byliśmy młodzi, świeży i zapowiadało się, że wszystko będzie fajnie. Były jakieś ćwiczenia. To było w okolicach Wilna, jakieś 30km od Wilna, może ~~25~~ 25 . Potem nagle w nocy (ale w żadnych akcjach nie braliśmy udziału, tylko nas, że tak powiem, po prostu ćwiczone) przyszedł rozkaz, że mamy iść w kierunku puszczy Rudnickiej. No tośmy poszli w kierunku puszczy Rudnickiej. W nocy szliśmy, pamiętam, od południa, całą noc do rana. To był taki przyspieszony marsz. Przyszliśmy do tej puszczy Rudnickiej. Wtedy raz w życiu brałem udział w takiej partyzanckiej mszy polowej. Szczerbiec to był jeden z większych oddziałów. Ci ludzie byli pięknie uzbrojeni, umundurowani. Brygady szturmowe Szczerbca miały takie niemieckie mundury, a reszta też była porządnie umundurowana, obuwie mieli porządne. Nie przypominali takich partyzantów, powiedzmy, zupełnie dzikich. Zresztą Szczerbiec to był duży oddział, oni tam mieli własny czołg, mieli samochody ciężarowe, armaty mieli swoje. To był jeden z największych...

- A pan ten czołg widział?

- Nie widziałem. Ale był, oni mieli swój czołg. Ktoś ze Szczerbca to panu dokładnie opowie, ja to tylko ze słyszenia znam. Tam była chyba nawet osada francuska tego czołgu, bo tam było dwóch czy trzech Francuzów. Jeden z tych Francuzów później zginął, w Kolonii Wileńskiej leżał. Ale to są szczegóły, ktoś ze Szczerbca to panu dokładnie może opowiedzieć, jeśli to pana ciekawi. No i w puszczy Rudnickiej

przyszła wiadomość, że dowódcy oddziałów partyzanckich, którzy pojechali na naradę do Czernichowskiego - zostali aresztowani. I wówczas oficjalnie nam powiedziano tak: Działalność partyzantki taka jaka była dotychczas dalej jest niemożliwa.. Więc zwalniamy was z przysięgi. Ja przysięgi tam nie miałem, ale większość tych partyzantów, nazwijmy to, zawodowych (bo ja się nie uważam za takiego partyzanta wcale) była po przysiędze, na zasadzie wojska. Więc mogli odejść z oddziałów bez zdrady, dopiero gdy zostali zwolnieni z przysięgi. Dowództwo (Szczerbca już wtedy nie było, bo Szczerbca już zaaresztowali), ci oficerowie od Szczerbca powiedzieli nam tak: Możecie iść do domu jak chcecie. Są trzy możliwości: kto chce, może iść do domu, kto chce może zostać tutaj w lesie (aha, powiedzieli nam, że puszcza jest otoczona przez oddziały radzieckie), a jeszcze jest i taka możliwość, że będziemy próbować przebijać się w kierunku Warszawy. Więc so chcecie robić. Myśmy mieli do domu około 20km, więc ja z kolegą mówimy - idziemy do domu. I poszliśmy do domu. On był z tych oddziałów szturmowych Szczerbca, więc był w niemieckim mundurze. I ja nie wiem do dzisiaj jak to było: bo myśmy bolszewików widzieli w odległości dosłownie no, sta metrów to przesada, ale gdzieś 300 metrów, więc nas dobrze widzieli, jakeśmy szli, lato było! Karabin rozmontowałem, ten zamek w jedną stronę, do zboża wrzuciliśmy karabiny, żeby nikt nie skorzystał i przyszedliśmy do domu. W mundurze niemieckim przyszedliśmy.

Rodzice się oczywiście ucieszyli. Siedzieliśmy w tym domu. Potem była mobilizacja do wojska, do Armii Czerwonej. Nikt szanujący się nie szedł do tej armii.

- Do Armii Czerwonej, czy do armii Berlinga?

- C z e r w o n e j, czerwonej. Późnie rzeczywiście, później przyjechali przedstawiciele Berlinga i potem były możliwości pójścia do Berlinga i część moich kolegów poszła, ale myśmy nie poszli nigdzie. A początkowo do czerwonej brali. Mam znajomych z Wilna, którzy w Wil-

nie byli w tym okresie mobilizowani i poszli do Armii Czerwonej. Więc to jakoś musiało być tak, że początkowo musieli brać do Armii Czerwonej, a później były możliwości, bo przyjechało przedstawicielstwo wojska polskiego też. Myśmy nie poszli do tej Armii Czerwonej - nie było specjalnych trudności, bo ja przecież miałem w konspiracji siostrę, siostra miała znajomych i dawali nam (a ja już wtedy podlegałem poborowi, 26 rocznik już podlegał) takie lewe dokumenty litewskie, coś w rodzaju dowodów osobistych ze zdjęciem. I tam dwa lata byłem odmłodzony, tak że mogłem chodzić.

Wówczas rodzice przenieśli się z powrotem do Wilna z tej Kolonii Wileńskiej, mieszkaliśmy znowu w Wilnie. [Mieszkaliśmy w Wilnie i ja tam pracowałem w takiej małej fabryce chemicznej. I w listopadzie 44 przyszedł do mnie oficer NKWD w nocy (aha, ojciec miał jeszcze skrzynkę kontaktową, z tym że to było dosyć proste, bo tylko łącznicy przynosili dokumenty i potem się ktoś zgłaszał i je zabierał). No i cóż. W listopadzie przyszedł do mnie ten enkawudzista, powiedział mamie że to tylko sprawdzenie dokumentów, że nic nie potrzebuję, i jak tylko sprawdzą dokumenty następnego dnia - przyjdę. I wzięli mnie do takiego więzienia naprzeciwko dyrekcji kolejowej na ulicy Słowackiego. Tam warunki były okropne. Już nie mówię o jedzeniu, o wszach, ale brakowało powietrza. No i śledztwo. Wie pan, ja o śledztwie chciałbym powiedzieć jak najmniej. No bili, wsadzali do cel z ludźmi psychicznie chorymi, z wariatami. Taki też systemik mieli. W nocy budzili, opowiadali, że zaaresztowali całą rodzinę - te wszystkie metody NKWD, które są znane. Z tym że jakichś tam wyrafinowanych metod bicia, wyszarpywania paznogi, czy coś, w tym więzieniu nie spotkałem. Ale ludzie, którzy przychodzili z prowincji, opowiadali takie rzeczy.

Śledztwo trwało miesiąc. Co mi mi zarzucali? Zarzucali tę partyzantkę. Ja nawet z początku nie wiedziałem, kto mnie wydał. Później się dowiedziałem, To był taki chłopak szesnastoletni, który powie-

dział, że byłem w partyzantce, że byłem tam i za czasów tych radzieckich. Obecnie mieszka w Moskwie, nawet z nim koresponduję. Wie pan, on miał wtedy 14 (16?) lat i mnie się wydaje... Tutaj, tak na marginesie chciałbym powiedzieć, że nie potępiam nikogo, kto zaczął zdradzać w więzieniu. } Chociaż mnie się udało nikogo nie zdradzić (to mogę śmiało powiedzieć), ale nikogo z tych ludzi, którzy się załamali w więzieniu niemieckim czy radzieckim, nie potępiam. Agenci, którzy na wolności zaczęli sprzedawać swoich kolegów - to jest sprawa już nozyczna. Nie mam dla nich żadnej litości. Natomiast w stosunku do ludzi, którzy się załamali w więzieniu, z potępieniem trzeba być bardzo ostrożnym. To już powiedział kiedyś Sołżenicyn, że z potępieniem ludzi syjących w śledztwie trzeba być bardzo ostrożnym. Co nie znaczy, że czasem się ludzie załamali przy bardzo błahych rzeczach. I na pewno można by ich potępić. Ale takie jest moje zdanie. Może się ktoś nie zgadzać. Tak na marginesie chcę powiedzieć o jednej rzeczy, może się pan z tym spotkał, nie chcę wymieniać nazwiska. Jest tu jeden pan, którego aresztowano we Lwowie, młodego chłopaka. Miał dość poważną akcję i złapali go na gorącym uczynku. I on, proszę pana, sypnął swojego dowódcę. I teraz są ludzie, którzy mu zarzucają, że sypnął swojego dowódcę. A on miał wtedy 16 lat i posłali go na likwidację agenta. Więc mnie się wydaje, że ktoś kto go posłał, powinien za to odpowiedzieć, a nie ten 16letni chłopiec, którego potem katowali w więzieniu i on nie wytrzymał i sypnął kogoś. To tak na marginesie. Oczywiście tu nie trzeba z jednej skrajności popadać w drugą. Bo byli czasami ludzie, co to ktoś go nastraszył, czy po pysku raz sprzął i już zaczął sypać. Mnie się wydaje tak: trzeba przede wszystkim wziąć pod uwagę ludzi młodych, niedoświadczonych - to jest raz. A poza tym różni są ludzie. Ja miałem teścia, adwokata wileńskiego, Węclawski się nazywał. Nie wiem na pewno, czy on był przedstawicielem rządu londyńskiego na całą Wileńszczyznę, czy tylko był, powiedzmy, bardzo blisko... w każdym razie w delegaturze rządu

był na pewno. Jego gestapo wzięło i wiadomo było, że nie przez przypadek go wzięli, tylko wiedzieli, kto to jest - i on nie zdradził nikogo. No więc tylko chwała. Ale znam przypadki, gdzie brali młodych ludzi i taki albo popełniał samobójstwo, albo po prostu z gestapo pi-
sał grypsy: słuchajcie, uciekajcie, bo jeszcze jedno śledztwo i nie wytrzymam. Więc tych ludzi nie można potępiać.

No i cóż. Siedziałem z początku w tym więzieniu naprzesiwko dyrekcji kolejowej, później nas przeniesiono do więzienia centralnego na Łukiszki. To był grudzień 44.

- Ja bym chciał, żeby pan jednak coś więcej o swoim śledztwie powiedział, mimo że to takie przykre dla pana skojarzenia. Chodzi mi o metody rozpracowywania, o bicie, o podejście psychologiczne...

- No wie pan, co tu można powiedzieć. Ja panu powiem do czego się ich metody sprowadzały. Przede wszystkim trzeba powiedzieć tak: NKW (nie wiem jak gestapo i nie wiem jak policja w innych rejonach świata), NKWD, tak jak wszystkie działości w Związku Radzieckim - ma swój plan. Więc człowiek, który się nie przyznaje, przeszkadza im, że tak powiem, w wykonaniu planu. On premii nie dostaje! To są takie bardzo podstawowe rzeczy. Gestapo przy całym swym okrucieństwie nie miało tych motywacji, a tu mają bardzo prostą sprawę. Jak to wpływa na śledztwo? Na śledztwo wpływa to tak, że jakiegokolwiek przyznanie się, nawet bzdurne, jego zupełnie zadowala w większości wypadków. Bardzo często znałem wypadki - czy z własnego śledztwa czy kolegów, że ludzie kompletne bzdury wygadywali. I oni to przyjmowali za prawdę.

- A czy w pana wypadku ~~xxx~~ nie usiłowano zrobić z tego jakiegoś działania grupowego? Bo oni chcieli następnych ciągnąć.

- Tak, tak. To panu zaraz powiem. Sprawa była bardzo prosta. Ponieważ ja w rzeczywistości musiałbym nie wiem jakie bzdury pleść, żeby kogoś grupowo związać - u mnie sprawa była bardzo prosta i nie wymagała wielkiego bohaterstwa. Im zależało na dostaniu jakichkol-

wiek nazwisk. Zaraz panu powiem : ja rzeczywiście, choćbym nie wiem jakim chciał być, że tak powiem, sprzedawczykiem, w rzeczywistości ściśle jakiegoś związku z nikim nie miałem. Tak że u mnie sprawa była prosta. Natomiast oni chcieli koniecznie, żeby ktoś, kto raz wpadnie, wcisnął przynajmniej paru ludzi, bo wtedy oni brali na zasadzie reakcji łańcuchowej. Więc już na pierwszym śledztwie pytali : kto do ciebie przychodzi, jakich ty masz znajomych? Bo wystarczyło powiedzieć, kto przychodzi i już go brali. W tym wypadku musiałem udawać głupiego, mówić że nikt nie przychodzi. Bo jeślibym o kimkolwiek powiedział, że przychodzi, to oni już go brali. Znam taki przypadek : chłopaczek młody, młodszy ode mnie, bo ja już byłem młodzienias osiemnastoletni, a ten chłopaczek miał 14, 15 lat (to był znany przypadek, nie znałem go osobiście, ale mi opowiadano) - on zaczął opowiadać o wszystkich ludziach, którzy do niego przychodzili. Efekt był taki, że wydał coś około 40 osób, a oni go ciągle jeszcze bili, jeszcze zmuszali. Bo, mówią, jak 40, to jeszcze o kimś powie. I doszło do tego, że on wszystkich ludzi, jakich znał... Anegdotyczne sprawy były. On wydał fryzjera, do którego chodził. Więc to były kompletnie szajbusowate rzeczy. Ale w skutkach tragiczne.

Przeciwko mnie też nie mieli poważnych zarzutów, bo ostatecznie w partyzantce bardzo dużo ludzi było. I nawet za radzieckich czasów Oni sobie z tego zdawali sprawę. Ale chcieli wykłapać wszystkich ludzi, którzy mieli jakikolwiek związek z partyzantką czy z kimś... Więc były takie historie, że babcie 70letnie siedziały na Łukiszkach. Ja widziałem te babcie. Staruszki kompletne siedziały. Tu działała zasada: dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie. Oczywiście że tak. Oni wszystkich tych ludzi podejrzanych chcieli sobie "powyczyszczać". No a trudno było chodzić tak po domach, więc oni tą metodą: kogoś jednego łapną, trochę mu przyrzną, no i z niego wyciągają. Były czasami takie wypadki, że kogoś złapali czy z bro-

nią, czy ktoś brał udział w zamachu (bo były przypadki, ~~żakki~~ zamachów na oficerów radzieckich, ~~na~~, na oficerów może nie tyle, ale na agentów NKWD), to oni wtedy bezpośrednio wyłapywali, to było co innego.

- Ale ci żołnierze też ginęli...

- Ginęli, ginęli, ale ja nie mówię o wypadkach sporadycznych. Ale masówek jakichś nie było. No więc na śledztwie to mnie pierwsze pytali: Kogo znasz? A w partyzantce znasz? Ale ja miałem dosyć prostą sprawę. No, owszem, znam w partyzantce, ale tam wszyscy mają pseudonimy. I dałem im bzdurne pseudonimy: Chrząszcz nie Chrząszcz, Błyskawica... można takie pseudonimy sypać i to nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji. No do brze, mówi, ale kto przychodził do was? Nikt nie przychodził. Nie można było powiedzieć: koledzy, bo to było równoznaczne z wydaniem. Więc on się tam wścieklił, miał taką pałę dwukrotnie większą niż mają nasi milicjanci, bo mieli pały litewskich policjantów i tym tłukł. Ale jakoś to przeszło. Z tym że nie chcę z siebie robić bohatera. No tłukli, no tłukli, owszem. Przedewszystkim to było straszliwie męczące, bo oni po nocy wzywali. Poza tym mnie raz wpakowali na dwa dni z kompletnym wariatem, który cały dzień tylko mówił: zginiesz tutaj, zginiesz tutaj. Psychicznie chcieli podłamać. Te metody mieli wstrętne i faktycznie to więzienie było ciężkie.

- Może to był reżyserowany wariat...

- Trudno mi powiedzieć. Może był reżyserowany, może w ten sposób coś chcieli wyciągnąć. Bo wiadomo było, że w każdej celi byli i kapusie swoi też. To były metody znane i gestapo, dużo metod mieli wspólnych. No i cóż więcej o tym śledztwie powiedzieć... No, metoda ciągłego zastraszania: że już twoi rodzice siedzą, że już wszyscy się przyznają - tego rodzaju chwyt, takie prymitywne dosyć. To się mówi prymitywne, ale...

- A czy jakieś grypsy, jakieś kontakty...

- Nie. Bo później się dowiedziałem, że jedynym powodem mego aresztowania był donos tego chłopaczka. Więcej nic. Ja jeszcze myślałem, wie pan - bo mimo woli człowiekowi zaczyna się wydawać, że coś więcej jest na rzeczy, co jest też błędem - że więcej jest na rzeczy niż w rzeczywistości jest - więc ja sobie myślałem: no, w tej partyzance byłem, czego oni ode mnie jeszcze chcą? Możliwe że oni tę skrzynkę nakryli, co u nas była. Tak sobie przypuszczałem. Potem się okazało, że wcale tego nie było. Ja się tego bałem. Kto wie, czy bym sobie śledztwa mądrzej nie poprowadził, jakbym wiedział, że oni nie wiedzą nic. Człowiek był naiwny. Ja sobie jeszcze wtedy nie zdawałem sprawy z tego, że oni mogą zaaresztować zupełnie bez powodu. Ciągle mi się wydawało, że jakiś powód jednak mają. Na tyle jeszcze był człowiek naiwny, nie miał doświadczenia. Dzisiaj bym wiedział, że to przecież jest tak, ale wtedy człowiek miał te 18 lat, jeszcze człowiek taki jakiś był...no, po prostu głupi. Poza tym, wie pan, jak nas przygotowała konspiracja. Konspiracja nas trochę też głupio przygotowała. Bo nas w konspiracji (ja nie byłem jakimś wielkim konspiratorem ale w harcerstwie) uczyli tak: jak cię wezmą do więzienia, to masz tylko dwie możliwości odpowiadania. No niech pan posłucha, idiotycznie. Zresztą ja widzę ta konspiracja solidarnościowa też tak przygotowała, co jest kompletnie głupie. Jak cię będą pytać, to tak: albo nic nie mów (to jest tak fajnie powiedzieć - nic nie mów!), albo mów "nie wiem". Nie wiem albo nic. Tylko dwie metody. Ale uważam, że to jest metoda idiotyczna tak się na śledztwie zachowywać. Uważam, że na śledztwie trzeba mówić, bo nic nie mówić to nie jest metoda, to głupia jest metoda. Nie wiem, kto tak wymyślił. No pewnie, najlepiej nic nie mówić, niech zabijają!

- Ja myślę, że po prostu inne warunki i inne czasy. Może to teraz zdaje egzamin, czy zdawało, a u was byłoby powodem zakatowania.

- To było idiotyczne! Zakatowałby pana! Widzi pan, wtedy mu pan daje dowód, jak pan kompletnie nie chce mówić. Więc chyba że człowiek

jest zdecydowany, wie pan... [Ja powiem szczerze: mało jest takich ludzi, co się zdecydują na zakaatowanie. Každy się jakoś broni. Wie pan, jednego człowiek w więzieniu się bał... bałem się dwóch rzeczy. Przede wszystkim bałem się, żeby kogoś nie zdradzić, no bo... Miało to, obok pozornie pozytywnego wpływu na zachowanie się, i ujemny wpływ. Bo człowiek był pod jakąś taką silną presją im to wpływało na nerwowość człowieka. Wprawdzie cel był bardzo szlachetny i tak się niby powinno myśleć, ale przesadna bojaźń, żeby nie zdradzić ma też swój i ujemny wpływ. No a druga sprawa była prosta: człowiek chciał żyć, więc się bał, że go zakaatują. Bo nie widziałem wprawdzie niko-go, kogo by na śledztwie zabili, ale były przypadki, zresztą nie takie rzadkie, że ludzie nie na samym śledztwie, ale w więzieniu umierali. Z wyczerpania, ataki serca... To szczególnie jeśli chodzi o starszych ludzi. Znałem wypadki ludzi czy z Wilna czy z Kolonii Wileńskiej - jeszcze na Łukiszkach umierali. Przecież wiadomo jak i co było.

No i cóż. Po skończonym śledztwie przewieziono mnie na Łukiszki. W więzieniu na Słowackiego zetknąłem się z różnymi przypadkami. Siedziało ze mną dwóch żołnierzy z armii Berlinga. To byli młodzi chłopcy, bracia, siedzieli za to, że byli przedtem partyzantami. Zataili i to wystarczyło. [Był też chłopak wywieziony do Kaługi (bo już wtedy do Kaługi wywożono), który z tej Kaługi uciekł. Z tej Kaługi uciekł do Wilna i pierwszą noc przenocował, a na drugą noc - jakieś koleżanka się wygadała, jakieś miał kontakty - i dosłownie na drugi dzień po udanej ucieczce znów go łapli i aresztowali. Na Słowackiego zasadniczo siedzieli sami Polacy i siedzieli młodzi chłopcy. Albo partyzanci, albo złapani gdzieś ze skrzynek kontaktowych. Był chłopak, u którego w czasie rewizji znaleźli rewolwer i to wystarczyło, że posiadał nielegalną broń. A później nas przewieźli na Łukiszki i na Łukiszkach już skład narodowościowy był zupełnie inny. Polacy byli w mniejszości, tam głównie siedzieli Litwini. W więzie-

niu Łukiskim, które było przeznaczone w czasach, powiedzmy, normalnych, nazwijmy to spokojnych - było przeznaczone na dwa tysiące więźniów, na początku 1946 siedziało około 16 tysięcy. Ośmiokrotnie... Myśmy siedzieli w celach pojedynczych i zdarzały się przypadki, że w tych celach pojedynczych siedziało 25 osób. Tak że siedzieć można było, ale położyć się nie było można. Z tym że to nie ciągnęło się tygodniami, ale tak 5, 6 dni. Więc to były warunki naprawdę ciężkie. Na Łukiszkach było o tyle lepiej, że była łaźnia i była odwieszalnia. Tam na Słowackiego jakieś siedzieli, to wszy były okropne. Tam dochodziło do 50 wszy w jednej skarpetce. To były warunki okropne, to był koszmar. No i na Łukiszkach nie było już śledztwa, bo śledztwo się skończyło, więc się spokojnie siedziało. Trochę paczek dostawaliśmy.

- Ale jeszcze nie byliście sądzeni?

- Nie, mnie dopiero po trzech latach sądzili. Ja w ogóle sądu nie miałem. Rozładowywane były Łukiszki przy pomocy transportów. Ciągłe nowe transporty przychodziły na Łukiszki, więc nawet te 25 osób to byłoby zagęszczenie za małe, jeszcze by się musiało zwiększyć, a to już nie było możliwe. Więc dlatego gdzieś co dwa miesiące transporty odchodziły. Nas do transportu przygotowano dopiero w sierpniu. Do sierpnia siedzieliśmy na Łukiszkach. Kontakt na Łukiszkach mieliśmy dosyć dobry, ja tam jeszcze z harcerstwa znałem Morse'a, więc myśmy przy pomocy stukanego Morse'a mieli porozumienie. Łukiszki są chyba trzypiętrowe albo czteropiętrowe. Na poziomie chyba ze wszystkimi celami, a w głąb do samej piwnicy mieliśmy łączność.

- No ale kapusie...

- Do karceru się można było dostać. Mnie się udało, ale mój kolega wleciał. Właśnie za stukanie. Pamiętam taki anegdotyczny przypadek: kolega zafasował parę spodni i w łaźni zostawił. To mu znalazłem, wie pan. Myśmy się dostukali przy pomocy Morse'a. Wystukał mi ten facet celę w której siedzi i gdzie ma te spodnie, strażnik był na tyle uprzejmy, że sam poszedł i przyniósł nam te spodnie. No ale to świadczy o

tym, że jakieś wiadomości z zewnątrz... Z takich charakterystycznych momentów pamiętam straszne strzały gdzieś siódmego czy ósmego maja, straszne strzały, widzieliśmy rakiety...no i poszła taka pogłoska plotka, że wybuchła wojna radziecko-angielska i że Anglicy na Snipiskach (to była taka dzielnica w Wilnie) desant wysadzili. Więc myśmy się strasznie ucieszyli, że więzienia prawdopodobnie oswobodzą. A potem się okazało, że to był koniec wojny. Tak, to było dziewiątego maja, bo 9 było zwycięstwo. Pamiętam koniec wojny na Łukiszkach. Dla nas koniec wojny to było raczej smutne. Bośmy wiedzieli, że coś się usankcjonowało. Wojna się skończyła, a my dalej siedzimy. Bo czł^owiek jeszcze ciągle myślał, że oswobodzenie przyjdzie przez wojnę. Ze jednak^k jakaś jeszcze będzie wojna, że w końcu alianci się z nimi pobiją i że jednak z zachodu przyjdzie do Polski wolność. Takeśmy sobie nsiwnie myśleli.

[W sierpniu koło 15, 16 sierpnia, wyprowadzili nas. Znaczy, widzieliśmy już, że idziemy na transport, bo zgromadzili nas w takiej byłej kaplicy na Łukiszkach, tam dokładną rewizję przeprowadzili i wczesnym rankiem, ledwo słońce wstawało (ato w sierpniu to słońce wcześniej wstaje) przed Łukiszki nas wyprowadzili. Na oko to było gdzieś około 2 tysięcy ludzi. Otoczeni byliśmy psami, oni mieli te bagnety na karabinach i konnych tam też było trochę. Ale to bardzo sprawnie, dobrze robili. Potem taką kolumnę ustawili, po 8 - 10 osób w każdym szeregu i szliśmy przez te ulice Wilna. Z tego przejścia przez Wilno pamiętam, że w dwóch miejscach nas fotografowano. Z balkonów. Oczywiście nie władza, tylko konspiracja fotografowała. Nie wiem czy te zdjęcia wyszły, bo było ciemno, ale w każdym razie w dwóch miejscach nas fotografowali.] Bo to było tak, że jednak wiadomości o transportach przedostawały się na zewnątrz. Dowodem na to było i to, że po drodze ja spotkałem matkę. Mama wiedziała, że jest transport i nawet tak szczęśliwie się złożyło, że szedłem z kraja i ja mamę widziałem. Za bardzo rękami nie mogłem machać, bo strażnicy szli, ale gło-

wą pokiwałem, że mamę widzę i mama wzrokiem mnie odprowadziła, tak że mnie widziała też. Przeprowadzili nas na stację towarową w Wilnie wpakowali nas do wagonów, no a potem już tak rozluźnieni byli ci strażnicy, bo wiedzieli, że nikt im nie uciekł po drodze. Ja jeszcze w kondycji byłem dobrej, bo paczki dostawałem. Jeszcze rodzicom udało się (tam gdzieś poprosili strażnika, pokazywali mu na migi, nie chcę chwalić NKWD, ale czasami te ludzkie odruchy były u nich większe niż u esesmanów) podać paczkę. Pozwolili tę paczkę podać. Zapakowali nas do tych wagonów i wieźli. Wieźli nas na północ, na Dynaburg. Tu w okolicach Brasławia jeszcze kobiety z dziećmi nam rękami pomachały, bo to były jeszcze takie okolice, gdzie Polacy mieszkali, a oni wiedzieli, kogo wiozą. W Dynaburgu Łotysz z nami jechał, to z kolejarzami rozmawiał, więc mówił, że na Psków nas wiozą. Myśleliśmy o ucieczce, bo mieli chłopcy jakieś kawałki piży, ale jakoś tak zastanawialiśmy się, nie byliśmy zdecydowani. A trzęsa się było zdecydować szybko, żeby płuwać. Oni nas wieźli dosyć wolno zanim nas dowieźli do tego Dynaburga, to chyba ze dwa dni jechaliśmy. I przynajmniej 2 razy dziennie sprawdzali. Wyganiaли nas w kąt wagonu jeden, na takich takich długich kijach mieli takie młoty drewniane - jak się postuka w deskę to się pozna, czy jest pęknięta, nadpiżowana. I tak jakoś zdecydowania nie było. Wprawdzie tam była duża grupa (ja tam nie mówię o sobie, bo ja tam bojowy nigdy nie byłem) i paru bojowych chłopców było z partyzantki, którzy mówili, że warto, cholera, spróbować uciec ale nie zdecydowaliśmy się. No a później to już czym dalej tym gorzej bo to już tereny polskie się kończyły. Potem na Łotwie wjechaliśmy w lasy. Między Pskowem a Dynaburgiem są lasy. I pamiętam - nagle ten pociąg się zatrzymał. Był taki wczesny świt, duża polana była, słychać było strzały, krzyki ludzi, ujadanie psów. Pociąg się zatrzymał i ja miałem takie szczęście, że byłem przy okienku, widziałem. To była ucieczka, uciekały gdzieś trzy czy cztery osoby i miały pecha. Bo myśmy przez dłuższy czas jechali przez lasy, a tu raz, że już zaczę-

ło świtać, było widno i to już był minus, który spowodował, że ta ucieczka źle się ułożyła. A następnie ta polana. I to nie była jakaś polana 100 metrów, ale olbrzymia, parę kilometrów się ciągnęła, taka pustka. I oni na tej polanie jak raz wyskoczyli. No i ich złapali. No, widać było, że ich biją, bo to wiadomo, że taka reakcja jest od razu, że tacy strażnicy jak złapią to biją, ale nie strzelali ich.

- Często oni na końcowym wagonie zaczepiali taki hak do rozszarpywania ciał tych, którzy by padli na pokłady...

- Możliwe, tego nie widziałem, ale były stanowiska karabinów maszynowych co parę...nie wiem, czy to były ręczne karabiny maszynowe takie gniazda karabinów maszynowych. Możliwe że dziegciary. W każdym razie to byli strażnicy i nie tylko z gwintówkami tylko jakieś tam karabiny mieli. Możliwe że te tarczowe mieli, te dziegciary.

No więc to widziałem : nie strzelali ich. Może oni i uchwali się, bo tak sobie myślę, że gdyby oni ich strzelali, to wyprowadziliby może wszystkich, pokazaliby...ja wiem? Trudno powiedzieć. w każdym razie taką ucieczkę widziałem i nie strzelali ich od razu. Jechaliśmy dalej. Z początku myśleliśmy, że jedziemy na Archangielsk, bo to tak na północ się wydawało. Psków, Jarosław - jeszcze myśleliśmy ciągle, że na wschód na pewno nie, tam gdzieś do Azji, ale prawdopodobnie Archangielsk. No, Archangielsk się kojarzył, bo Archangielsk był znany z obozów, szczególnie z tych leśnych obozów, z wyrębów lasów. Później było trochę dziwnie, bo zorientowaliśmy się, że na Archangielsk nie, że jedziemy w stronę K₀tłasu. I tam, w rejonie K₀tłasu już tak luźniej, już nas tak nie pilnowali na tych stacjach, po wodę myśmy tam chodzili czasami. I na którejś z tych stacji podeszło takie starsze małżeństwo rosyjskie - pod sam wagon. Już tak nie pilnowali, bo tam po drodze to pilnowali bardzo, czasami dzieci nas kamieniami obrzucały, pamiętam, już w Rosji. Bo to myśleli: ja-cyś faszyci. Bo to wiadomo, jak wojsko radzieckie wiezie kogoś, to na pewno faszystów. A później już trochę poluzowali, nawet ta lud-

ność podchodziła pod wagony. Kiedyś więc podeszła taka staruszka z mężem i mówi: Wiecie co (bo my się pytamy, gdzie nas wiozą), wiozą was na Workutę, to już teraz innego miejsca nie macie. A my wiemy na pewno, że na Workutę, bo nasz syn też tam siedzi. Tak ci Rosjanie nam powiedzieli. No i później za Kotłasem wjechaliśmy w lasy i co było ciekawe, już tam się zaczynały obozy. Były nawet wypadki, że ludzie z obozów już przychodzili, tacy którzy chodzili na takiej wolnej stopie i mówili, że oni są w obozach, rozmawiali z nami. Mówili: Was to chyba dalej wiozą, a my tu też w obozach jesteśmy. To była często obługa jakiejś kuchni, po wodę tam przychodzili na stację. I poza tym widziało się z tych wagonów bardzo dużo obozów, które były przy samej linii kolejowej, ale to były resztki obozów. Resztki tych wieżyczek strażniczych, ogrodzeń. To były wszystko obozy tych ludzi, którzy budowali kolej, bo jak się kolej posuwała to i obozy się posuwały. To była ta słynna linia Kotłas - Workuta. To była słynna linia, o niej się mówi, no, nie wiem z jaką przesadą, że pod każdym podkładem leży człowiek. Między innymi właśnie oficerowie budowali to polscy.

Nam dawali żarcie stosunkowo jak na warunki więzienne, możliwe, bo dawali duży kawałek chleba i dawali rybę słoną. Ja tę słoną rybę niepotrzebnie jadłem, bo to tam mądrzejsi ludzie wyrzucali. Ale człowiek był jeszcze taki niedoświadczony. Efekt był taki, że mi się potem strasznie pić chciało. Wodę nawet nam dawali, tylko że dawali wodę surową. Na jakiejś stacji nas wyprowadzili, tej wody surowej się napiłem i dostałem normalnej biegunki, wysokiej temperatury. Tam był gdzieś taki wagon szpitalny i była taka siostra, ale człowiek się bał, bo krążyły takie wiadomości, że dostaniesz się do takiego wagonu - szpitala to cię potem rozchlastają. Więc ja się za bardzo nie przyznawałem, że mam temperaturę, i krótko mówiąc, przyjechałem na tę stację końcową, która się okazała Workutą, już kompletnie chory. Już osłabiony i chory. Przywieźli nas na stację; pierwsze wrażenia,

t

tundra, drzew w ogóle nie było, takie krzaczki drobne, jakieś tam baraczkę porozrzucane. Wyprowadzili nas z tych wagonów i pognali do pierwszego obozu. Ten pierwszy obóz był jakieś 10, 12 km od Workuty. Prędzaczna się nazywał. Pierwszej nocy tośmy spali na głej ziemi, był tylko taki barak z wierzchu. Ale ciepło było jeszcze, bo to był sierpień. W tym obozie było bardzo dużo Łotyszów (z początku myślałem, że to Niemcy) z tych oddziałów niemieckich, które się jeszcze broniły tam, w okolicach Rygi. W obszarpanych takich mundurach strasznie wynędzniali byli.

Pierwszy okres obozowy. Śmiertelność była duża. Pierwszy okres był jednym z cięższych, bo ludzie byli nieprzyzwyczajeni do tego obozu, potem się człowiek mimo woli zaczął przyzwyczajać do tych warunków. Na robotę chodziliśmy na hałdy, ładowaliśmy na samochody ciężarowe kamień. Tym kamieniem się potem sypało drogi, jak budowali. W obozie był szpital, dużo ludzi na biegunkę chorowało. Obóz był nieduży, jakieś 300, 400 osób, ale codziennie ktoś tam umierał, więc śmiertelność była duża. Ja w tym obozie byłem do zimy. W zimie na komisji lekarskiej, ponieważ już byłem wynędzniały (oni tam takie komisje lekarskie robili. Polegało to na tym, że przede wszystkim badali siedzenie, że tak powiem. Bo jest taka reguła, że ostatnie zapasy tłuszczu są na pośladkach. Jak już na pośladkach pan nie ma tłuszczu, to jest pan tzw. dochadziaga, czyli osobnikiem wyczerpanym), otóż na jednej z takich komisji uznano mnie za kompletnie wyczerpanego, bo już na tych pośladkach nie miałem tłuszczu. I posłano mnie do tzw. P O P, nie, to się nazywało O P nie POP - Oddychatelnij Punkt. To był obóz w pobliżu samego miasta Workuta, tam się na pracę nie chodziło, siedziało się tylko w baraku, trochę lepsze jedzenie się dostawało. Tu ciekawostka : w obozach niemieckich człowiek, który był kompletnie wyczerpany nazywał się muzułmanin. W obozach radzieckich taki kompletnie wyczerpany człowiek nazywał się dochadziaga. Jak mi mówili sta-

rzy więźniowie, którzy jeszcze pamiętali ten Białomor Kanał (wprawdzie to były już resztki, ja tylko paru takich ludzi spotkałem) - słowo dochadziaga pochodzi od powiedzenia "doszedł do komunizmu" - doszedł do komunizmu. Bo kogoś, kto do czegoś dochodzi tak nieliteracko nazywa się dochadziaga. Można tak powiedzieć o takim, a więc doszedł do komunizmu. W tym obozie Oddychatelnyj Punkt byłem parę miesięcy. Tam dosyć dużo było byłych Własowców. W nomenklaturze to się nazywało speckontyngent. Oni siedzieli bez wyroków. Część tych ludzi dostała się w interesujący sposób do obozu. Bo oni byli początkowo w obozach we Francji i Niemczech Zachodnich. Tam przyjeżdżały delegacje oficerów radzieckich, którzy im mówili, że ojczyzna im przebaczyła, że w ZZSR nastąpiły daleko idące zmiany i oni będą mogli być normalnymi obywatelami. Jednym słowem, że mogą wracać. Z kolei władze alianckie nie wypędzały ich, mogli zostać. Ale dosyć duża część Własowców uwierzyła w słowa tych delegacji radzieckich i przez Marsylię płynęli statkami do Odessy. No i wszystko było pięknie, orkiestra ich witała, wysiedli w porcie, w pewnym momencie orkiestra się wycofała, zostali otoczeni przez wojska NKWD i wysłani do obozu. Między innymi do Workuty wielu trafiło.

Obóz OP - Oddychatelnyj Punkt później się przerodził w obóz normalnej pracy. Ten obóz się nazywał "Pierwszy Kilometr". Część tych obozów wzięła nazwy po prostu od odcinka drogi kolejowej. Pierwszy Kilometr był na pierwszym odcinku wąskotorowej linii, która prowadziła z Workuty w rejon zachodni. W tym obozie trafiłem do brygady białorusina, który nazywał się Martyniuk. Wspominam z wielkim sentymentem tego człowieka. To był jeden z ludzi, który potrafił się dostosować do warunków obozowych i który w jakiś sposób nie tylko sobie ale i ludziom ze swego otoczenia pomagał.

- Panie Stanisławie, pan zapomniał powiedzieć jak pan do tego pierwszego obozu przybył. Przecież to był szok chyba. Koniec podróży. Ilu z was zginęło w tej podróży?

- W podróży nikt nie zginął. Z naszego wagonu nikt. Wie pan, w ogóle to jest dziwne, bo jak ja opowiem o swoich wrażeniach obozowych to dużo ludzi mi zarzuca, że ja za łagodnie opowiadam. Ale tak się złożyło że... Na przykład transporty. Ja czytałem kilka opisów transportów, straszne były. Ludzie marli, ginęli z głodu, rozstrzały były jakieś z powodu ucieczek. Ja tego nie widziałem, więc trudno mi mówić. Brak wody - myśmy wody mieli dosyć. Jedzenia mieliśmy dosyć. Jechaliśmy tydzień i nie powiem, żeby to były jakieś luksusowe warunki, ale naprawdę jakichś bardzo drastycznych rzeczy nie widziałem. Widziałem tę jedną ucieczkę to o niej mówiłem. Do obozu przyszliśmy, już byłem po tej czerwonce, mrozów nie było. W Workucie jest to lato polarne, był sierpień i dlatego mrozów nie było. Do roboty myśmy chodzili, która nie była tak okropnie ciężka, jedzenie było lepsze niż w więzieniu na pewno. Z tym że to jedzenie wprawdzie nie było takie małe, bo było zawsze więcej niż pół kilograma chleba a dwa razy zupa taka rzadziutka, więc nie było, zdawałoby się, takie strasznie głodowe, ale jednak przy pracy fizycznej doprowadzało do tego, że ludzie po dłuższym okresie czasu słabli. No i w tym obozie, mimo że to był obóz mały, śmiertelność była duża. Była duża śmiertelność, bo mniej więcej w ciągu dwóch trzech dni jeden człowiek umierał. Mimo tego, że to byli ludzie młodzi. Szczególnie umierali z powodu chorób żołądka, grasowała dezynteria - silne odwodnienie organizmu i głównie z tego powodu ludzie umierali. I śmiertelność z tego powodu była duża, był był nawet jakiś barak, gdzie tych jeńców... Ale jakichś takich specjalnych znęcań nie było. No, były nieprzyjemne metody prowadzenia do pracy, pamiętam. Ale to też zależało od indywidualnych cech tego, kto wyprowadzał. To byli tzw. nariadczycy, którzy wyprowadzali. Ponieważ ludzie byli często osłabieni, nie chcieli do roboty nieraz iść, więc robiono w ten sposób, że przychodził taki nariadczyk z pomocnikiem ten miał taką olbrzymią dechę i to się nazywała metoda bez pasledniego.

Bez ostatniego. Kto wychodził ostatni, ten dostawał po grzbiecie ta-
~~pkax~~ dechę. Efekt był taki, że każdy się pchał, żeby wyskoczyć na
zewnątrz. No, to takie rzeczy pamiętam.

Na tym OP, gdzie ja byłem, bo już wracam do tego OP - tam warun-
ki były możliwe, bo była czysta pościel, jedzenie trochę lepsze i ja-
człowiek leżał to takie jedzenie wystarczyło. Na ogół ludzie, jeśli
nie byli na coś chorzy i nie pracowali to na obozowym jedzeniu można
było żyć. Taka była prawda. Z tym że jeśli ktoś uparcie odmawiał ro-
boty, to go tam oczywiście namawiano. Możliwe, że i były takie przy-
padki, że i dostawał w kość za to, że nie chciał wychodzić do roboty-
z początku na pewno. A jeśli ktoś był bardzo uparty, to na tyle na i-
le wiem, takiego człowieka nie bito, tylko dawano mu 300g chleba.
A 300g chleba to już była taka dawka, że, powiedzmy, po paru tygodniach
on już ledwie chodził. To była metoda bardzo prosta jeśli chodzi o
zmuszanie do roboty.

No a wracając do tego Martyniuka. Teraz jak zacznę opowiadać, to
komuś się wyda, że jestem, powiedzmy, agentem, bo zaczynam chwalić,
jak to było dobrze w obozach. Ale to był taki okres...W tym czasie
myśmy dostawali 700, 800g chleba u tego Martyniuka. Dostawaliśmy buł-
ki białe po kilka sztuk. No, ktoś powie, to jest szaleństwo, ale to
był taki okres. I dostawaliśmy nawet świnną tuszonkę. Nie było to ta-
kie jedzenie, żeby człowiek był zupełnie syty, ale jeśli się nie mia-
ło ciężkiej pracy, to dawało szansę życia. Taki to był wtedy okres,
zaznaczam jeszcze raz. Poza tym Martyniuk był bardzo dobrym bryga-
dzistą, bo nam kombinował pracę, która równała się prawie kompletnej
objazdze. Myśmy obsługiwali ładowarkę parową, która ładowała kamień
do samochodów ciężarowych. Obsługiwała tę ładowarkę cała brygada, 16
osób nas mniej więcej było. I te 16 osób nosiło dwa do trzech koszy
węgla na dobę. Była to praca, która równała się pracy żadnej. Ponie-
waż on miał dobre układy w buchalterii, która wypisywała normy jedze-
nia, a normy jedzenia były ustalane od wypracowanych godzin- można

było, krótko mówiąc, w tym okresie przy tym jedzeniu pracować i egzystować może nie w nieskończoność, ale parę lat można było. Uważam, że to były warunki luksusowe. Ten Martyniuk był bardzo mądrym człowiekiem, on mnie dużo rzeczy nauczył w obozie. Przede wszystkim nauczył mnie jednej rzeczy: że nie trzeba bardzo pchać się do pracy. Na czym to polegało. W pewnym okresie przerzucono nas do pracy cięższej, budowaliśmy taką wodną zapórę, a z początku budowaliśmy fundamenty dla tej wodnej przyszłej zapory. Polegało to na kopaniu w dosyć ciężkim gruncie dołów pod przyszłe konstrukcje. Brygadziści przynosi-li przed robotą kilofy i łopaty i dawali to poszczególnym ludziom. Rozdawanie polegało na tym, że każdy się bił i walczył o to, żeby zdobyć lepszą łopatę i lepszy kilof. Kto był silniejszy, ten sobie zawsze zdobył lepszą łopatę i kilof. Ja na ogół nigdy nie byłem atletą, ale też się zawsze próbowałem wcisnąć gdzieś tam, żeby lepszą łopatę i kilof dostać. Po paru dniach walki o te kilofy i łopaty, ten Martyniuk mówi mi w baraku: po co ty się tak codziennie bijesz o te... Ty powinieneś mieć inną filozofię. Niech się biją, a ty sobie na końcu, co zostanie weź. Ja mówię: ale wtedy mi najgorsze zostanie. No oczywiście że najgorsze. Dostaniesz złamaną łopatę, pęknięty kilof i takimi narzędziami ty prawie nic nie zrobisz. Coś wydlubiesz, ale nikt do ciebie pretensji nie będzie mieć, bo pokażesz, coś ty miał. No więc tak nie było, żeby się ktoś znęcał nad tobą. I ja tak robiłem. I przez parę dni nic nie pracując, mając najgorsze narzędzia (oczywiście tego nie można było robić w nieskończoność, bo można było podpaść), tak przez parę dni robiłem. Tego mnie Martyniuk nauczył. Poza tym co on mi jeszcze powiedział. Ponieważ ty masz tu względne warunki, więc nie pchaj się nigdzie, tylko się, mówi, trzymaj mnie i wtedy wszystko będzie w porządku. No ale nieszczęście chciało, że przyjechali tzw. werbownicy. Od czasu do czasu zjawiali się tacy ludzie i werbowali do innych obozów. Przyjechali więc werbownicy i powiedzieli, że oni potrzebują lu-

dzi do takiego jakiegoś ośrodka sanitarnego, wypoczynkowego, gdzie jest bardzo lekka praca, inne warunki żywnościowe, jeszcze lepsze niż tutaj. Krótko mówiąc, ja się skusiłem i zapisałem się na ten etap. Bo to się nazywało etap - prowadzono ludzi do innego obozu. Ten Martyniuk mi mówi: słuchaj, nie bądź głupi, tu masz względne warunki żywnościowe, u mnie nie napracujesz się ciężko, lepiej niczego nie szukaj. Ale ja jeszcze miałem małe doświadczenie obozowe i nie rozumiałem jednego, że generalna zasada w obozie jest taka: jak najmniej pracować i kombinować, żeby było co zjeść. To jest generalna zasada przeżycia w obozie. I rzucenie palenia. To Martyniuk zrobił od razu. Był nałogowym palaczem i rzucił palenie. I te zasady próbował mi ten Białorusin wpoić. Robota była możliwa, jedzenie kombinował, warunki możliwe - nie szukaj nic lepszego. To była bardzo mądra zasada. Nawiasem mówiąc ten Martyniuk miał bardzo dobre układy w biurach, które naliczały te normy. Bo my przy efektywnej pracy równającej się zero dostawaliśmy najwyższe normy jedzenia. On tam musiał jakąś łapę dawać, nie wiem jak on to załatwiał. Spytałem go kiedyś, co on robił "w cywilu", na wolności. Powiedział mi, że był przewodniczącym najlepszego sowchozu na Białorusi. W swojej naiwności spytałem wtedy, pamiętam, jakie metody stosował, że miał takie dobre wyniki. A on przyznał się: nie, mówi, ja pisałem najlepsze sprawozdania w całej republice. To mi wyjaśnił.

Wracając do tych werbowników. Martyniuk mi odradzał. Słuchaj, mówi, przecież tu masz najlepsze kotły. Kotły to były normy jedzenia. Tam było 6 czy 7 kotłów. Pierwszy kocioł, najgorszy, to było 300g rąmów chleba, a szósty i siódmy to się już dostawało ponad kilo chleba. To było naprawdę wyżywienie już zupełnie, zupełnie możliwe. No ale ja, jak mówię jeszcze raz, w swojej naiwności nie słuchałem go i zapisałem się, bo mi się zdawało, że oni rzeczywiście coś lepszego dadzą, warunki lepsze... No i dobrze. Na drugi dzień uformowano ten

etap do tego raję, który obiecywali. To było niedaleko, obóz był oddalony o 11km i z prostej wyliczanki wychodzi, że nazywał się Dwunasty Kilometr, bo jak ta linia kolejowa szła, tak się obozy nazywały. No i tu jest piękny przykład tego, jak wszelkie uogólnienia warunków obozowych mogą być złudne. To były obozy oddalone od siebie tylko 11km. A warunki były w tym obozie diametralnie różne. Oczywiście trzeba zaraz na początku powiedzieć, że to była czysta bujda, co ci zachwalacie mówili. To był obóz malutki, tam było 5 czy 6 baraków. Co było bardzo ważne, w tym obozie nie było szpitala. Jedyłą ucieczką i pomocą więźniów wynędzniałych w chyba wszystkich obozach, bo chyba w niemieckich bało podobnie, ale w radzieckich szczególnie (Herling Grudziński tam pięknie pisze o tych szpitalach) - był szpital. Szpital ratował ludzi. Żeby nie było szpitali, ludzie by masowo ginęli. A szpital jednak truchę ludzi zawsze reperował. I ci ludzie znowu na 3, 4 miesiące byli zdolni do pracy, do chodzenia. Potem znów byli słabsi i znów ich szpital przyjmował. Krótko mówiąc, można śmiało powiedzieć, że większość ludzi, którzy przeżyli obozy radzieckie, w dużym stopniu przeżycie zawdzięcza szpitalom. W szpitalu była jednak opieka lekarska, która może nie była najważniejsza. Ale było przede wszystkim ciepło, czysto, możliwe jedzenie i brak ciężkiej pracy. Znaczą żadna praca, bo się leżało. Szpitale pomagały, reperowały.

Ale wracając do tego Dwunastego Kolometra. Tu był malutki obóz, kilka baraków i brak szpitala. Co jest jeszcze istotne. W obozach radzieckich regułą jest to, że im mniejszy obóz tym gorsze warunki. To jest reguła. Najlepsze warunki - to paradoks - w obozach workujących były w obozach obsługujących kopalnie. To była prawie reguła. Dlaczego? Bo w obozach dużych jest możliwość różnych prac nieciężkich. Tam jest duża obsługa biurowa, jeśli chodzi np. o kopalnie to jest dział mechanika, dział kontroli technicznej, krótko mówiąc duża ilość ludzi może być zatrudniona w pracach nie fizycznych.

A podstawą w obozie było nie pracować fizycznie. Jeśli już ktoś nie pracował fizycznie, miał duże szanse przeżycia. Bo nawet przy tych stosunkowo nędznych normach jedzenia, ktoś pracujący umyślowo albo bardzo lekko miał większą szansę przeżycia. Najgorsza była ciężka praca fizyczna. Wtedy koniec, bardzo szybko się dochodziło, słabł człowiek. W Dwunastym Kilometrze jedzenie było takie jak 1:2, mniej więcej pół normy tej co tam. Żadnej swinnej tuszonki, żadnych bułeczek. Kawałeczek chleba, nędzna zupa, praca przy budowie wąskotorowej kolei, droga do pracy w jedną stronę mniej więcej 12 km. Krótko mówiąc, myśmy tam w ciągu dwóch miesięcy już ledwo chodzili. To jeszcze raz podkreślam, jak wszystkie uogólnienia mogą być złudne. Obóz w tym samym okresie oddalony o 10 km. - warunki diametralnie różne. W tym obozie był ze mną jeden Polak, Olek Markiel, nie wiem, czy on do Polski wrócił, bo go później straciłem z oczu. On jeszcze biedak miał jakieś komplikacje z sercem, iszjasz miał, choroby serca, puchły mu straszliwie nogi, tak że krótko mówiąc, ledwie chodził. Warunki bardzo ciężkie, szpitala nie było, baraki były zapluskwane. A w obozach radzieckich na początku były, ale później już tego nie było. Tu były straszliwie zapluskwane baraki, łaźnia była brudna, raz w tygodniu się chodziło i w takim cebrzyku tylko się myło, właściwie do połowy, a reszta tośmy byli właściwie zaropiali, zabrudnieni, wynędzniali - wyglądaliśmy, można powiedzieć, rzeczywiście jak ci więźniowie oświęcimscy. Warunki były straszne. Tam, gdyby to dłużej trwało, byłaby straszna śmiertelność, bo nie było wyjścia, nie było szpitala. Całe szczęście że po jakichś dwóch miesiącach ten obóz zlikwidowano. Nas stamtąd wzięto i znowu trafiliśmy na tę Predszachnę. Ten obóz był przyczyną tego, że ja w późniejszej, nazwijmy to w cudzysłowie, karierze obozowej, pracowałem na ogólnych robotach mniej więcej nie więcej jak dwa trzy miesiące. Dwa trzy miesiące i nadawałem się już tylko do szpitala. I późniejszy mój

okres obozowy przez jakieś dwa lata tak wyglądał, że pracowałem 2,3 miesiące, słabłem, ledwo chodziłem, pakowano mnie znowu do szpitala i znowu chodziłem. Jak długo tak można było egzystować? No, mnie może ratowało to, że ja byłem człowiek młody, miałem 19,20 lat, ale starsi ludzie, którzy mieli jakieś choroby, często nie wytrzymywali.

I potem przeszedłem przez szereg obozów. Była tzw. Płatina, na której budowaliśmy zapórę wodną. Później był taki obóz, który nazywał się Ajacziaga. Przy tym obozie dłużej się zatrzymam, bo w tym obozie dłużej byłem. Pracowałem oczywiście też fizycznie, ładowaliśmy taki piasek ze żwirem na takie wagoniki kolei wąskotorowej. Praca nie była właściwie ciężka, bo to był piasek ze żwirem, więc to ostatecznie nie było nic takiego ciężkiego. Tylko że człowiek już był wyczerpany. I po jakichś dwóch miesiącach (a tam jeszcze zimą przebywałem) wracając z pracy do obozu, wyczerpany, upadłem. Straciłem przytomność i upadłem. I do obozu przyniósł mnie taki złodziejaszek kieszonkowy z Moskwy, Lońka. Ja z nim zresztą pracowałem, bo to na dwóch więźniów był jeden wagon, tak że myśmy ten wagon razem ładowali. Praktycznie ja tam już niewiele ładowałem, bo już byłem słaby, ale ten Lońka był jakoś na tyle porządnym człowiekiem, że mi żadnych uwag nie robił. Praktycznie on sam za mnie pracował. Dlatego do dzisiaj go wspominam, że był na tyle wyrozumiały, że mi żadnych szturchańców za to nie dawał. Praca była normowana, a choć normy były małe, trzeba było we dwójkę ten wagon ładować. Ale jednak ja mu bardzo mało pomagałem, więc przy innych, że tak powiem, układach, można było po głowie za to oberwać, że się nie pomaga. Prawda, że ja rzeczywiście byłem już tak wynędzniały, że nie mogłem. No i krótko mówiąc ja tam upadłem i straciłem przytomność. No i wie pan, to jest tak: jak człowiek upadnie i naokoło są słabi ludzie, to na ogół nikt się nie kwapi, żeby pana podnieść. Bo albo jest taka ewentualność, że ktoś jest tak słaby, że nie może podnieść drugiego, albo i taka, że nawet jeśli ktoś jest trochę silniejszy, to mu się nie chce nieść, żeby nie stracić sił.

To jest niestety takie prawo, powiedziałbym już bardzo brutalne. No i ten Łońka... Jak odzyskałem przytomność, widziałem, że mnie nie-
sie. Więc mile go wspominam. Bo całe szczęście, że ja po chwili wró-
ciłem do siebie i mówię: Łońka, puść mnie (no bo przecież wiem, że i
on za bardzo nie ~~ma~~ ma siły, nie mam co udawać, tylko mogę łązić
sam na własnych nogach), puść mnie, to ja sobie dojdę. No i dosze-
dłem. Doszliśmy do szpitala, a nasz brygadzysta, też z Moskwy, taki
młody chłopak, zaprowadził mnie do lekarza. Lekarzem w tym obozie
był pan doktor Kownas, Litwin. Dobrze po polsku mówił. Zresztą już
wcześniej go spotykałem w obozie czasami, on wiedział, że jestem Po-
lakiem. Zawsze po polsku do mnie zagadywał jak mnie spotkał. On mnie
zbadał, sympatyczny był bardzo. Z okolic Kowna był, w wieku tak około
czterdziestu paru lat, a z tych okolic ci Litwini, tu spod Kowna, że
wszyscy po polsku mówili i to bardzo ładnie. Może nie wszyscy, ale
większość, tak by raczej można lepiej powiedzieć. Bo tam na Żmudzi to
co innego, ale tu, w tym rejonie to raczej wszyscy mówili. No i on mi
powiedział: Wiesz co, to ja cię więcej na te roboty ogólne nie pośle.
Ja cię wezmę do szpitala, ale za sanitariusza. Będiesz jako sanita-
riusz pracować. Parę dni tak poleżałem, trochę przyszedłem do siebie
i potem byłem sanitariuszem. Właściwie to takim... taką dziewczyną do
wszystkiego. Nosikiem wodę, w piecach paliłem, ale już było ciepło,
człowiek na mrozie nie pracował, wyżywienie jednak mimo wszystko lep-
sze. Krótko mówiąc, ja w tym szpitalu odżyłem u tego dra Kownasa.

Po jakimś czasie rozporządzenie takie przyszło, że wszystkie ko-
biety z męskich obozów powinny być usunięte. Z tym że tak: na począ-
tku, jakśmy do Workuty przyjechali, to kobiety były razem z mężczy-
znami w tych samych obozach. Tam były takie prowizoryczne niby ja-
kieś ogrodzenia, ale praktycznie obozy były koedukacyjne. Później ze-
zwolono części kobiet pracować w obozach. Więc np. kucharkami były,
gdzieś tam w pralni pracowały. Ale to były pojedyncze osoby, które
nocowały w kobiecych, a tylko przychodziły pracować w męskich obozach

Później...no nie wiem. Prawdopodobnie...wiadomo, męskie sprawy wszędzie są, a chociaż większość mężczyzn w obozach nie była zdolna do intymnych spotkań z kobietami, ale jednak widocznie zagrały jakieś przyczyny, w każdym razie przyszło rozporządzenie, że nawet te kobiety z obsługi nie mogą pracować w męskich obozach. No i to miało wpływ na moją dalszą karierę obozową. Bo było tak, że kucharką gotującą dla tego szpitala, w którym dr Kownas był szefem, była kobieta, Rosjanka, Wąla się nazywała. I ona teraz musiała odejść. No i dr Kownas w związku z tym mnie wezwał i mówi: wiesz co, będziesz kucharzem. Ja mówię: Panie doktorze, ja w życiu nie gotowałem, nawet herbaty nie za bardzo. A on na to: Nie szkodzi, bylebyś nie kradł. A gotować się nauczysz. Wala ci pokaże. Dwa trzy dni tam będziesz chodzić do tej Wala, Wala ci pokaże. Ta Wala była bardzo sympatyczna, nie było wielką kombinacją gotowanie, bo najważniejsza była proporcja wody, ile wody wlać na ile kaszy, ile soli - to była podstawa. Reszta, to rybe ugotować jakąś, mięso żeby było miękkie - coś tam od czasu do czasu do szpitala dawali. Jakoś się nauczyłem i ten doktor Kownas był ze mnie zadowolony. Bo co ugotowałem, to mu dawałem. Oczywiście przy tym zjadłem, bo nie pisane prawo kucharza istnieje, że jak gotuję to może zjeść. Nikt nigdy nie zabroni kucharzowi jeść, więc ja się tam odkarmiłem, już poczułem się, że tak powiem, normalnie. Bo już w szpitalu trochę odpocząłem, potem jako kucharz, no i wydawałem się, że sielanka się zapowiada, że ja dalszy czas w obozie spędzę jako kucharz i przeżyję. Bo to była szansa przeżycia. No ale ta sielanka za długo nie trwała. Był w tym obozie Żyd gruziński, który był nariadczykiem. Nariadczyk to taki pan, co wypędza na robotę i jest bardzo ważny. Ponieważ na szpital zawsze dostawałem lepsze jedzenie, zawsze się jakąś rybę świeżą dostawało, mięso reniferowe, to, co do normalnej kuchni nie przychodziło...

- A propos mięsa reniferowego, ono podobno jest niejadalne?

- Ale! Kto to panu mówił, świetne, przecież to jest sarnina. Chyba

że ktoś nie lubi dziecizny. Bardzo dobre, myśmy dostawali wędzone, ono jest takie przewarstwione tłuszczem. Świetne. Może ktoś jadł nie świeże albo ze starych reniferów.

- Opisywano scenę na targowisku. Jak zarzynał i wypijał krew taki Komiak i sprzedawał to mięso.

- To nie byli Komiacy, to byli Neńcy. Na reniferach Neńcy jeździli. Bo to była republika Komi, ale okręg był Workuta nenieński. Komiacy to było fińskie plemię, a Neńcy to było mongolskie plemię. To tak na marginesie.

No i ten nariadczyk, z początku grzecznie a potem coraz bardziej stanowczo do mnie, żebym mu tego jedzenia dawał. Jakaś rybę świeżą.. Ten szpitalik doktora Kownasa nie był duży. To było jakieś 30 osób, była i obsługa, dwóch lekarzy, był sanitariusz. I im trzeba było zawsze jakieś większe porcje dać, bo trudno żeby obsłudze więcej nie dać. To było normalne. Dr Kownas nie potrzebował, bo on miał przepustkę, miał kontakty z wolnymi, więc jedzenia obozowego nie potrzebował. No ale w obsłudze parę osób było, więc gdybym to jedzenie, co dostawałem, zaczął w jakiejś większej ilości rozdawać (bo i sam zjadłem przy tym), tobym musiał oszukiwać tych chorych. To nie było takie proste, bo ten nariadczyk brał nie tylko dla siebie, dla swoich kumpli brał. Przy takiej ilości to już znaczne kradzieże by były i to już było oszukaństwo. A zresztą pamiętałem o tym, co mi doktor mówił: Rób co chcesz tylko nie wolno ci kraść. No więc ja mu odmawiałem i to kategorycznie, bo zresztą był niesympatyczny typ, więc dla czego mu miałem grzecznie odpowiadać. No ale to się na mnie zemściło. Bo pewnego razu dr Kownas mnie wezwał i mówi: Wiesz co, jest taka sytuacja. Ten nariadczyk (ja cię pochwalam, żeś mu nie dawał, wszystko w porządku), on cię spisuje na ogólne roboty. Nie dajesz mu i trudno. On mi nie powiedział, że mu nie dajesz, tylko oczywiście, że już dosyć jesteś na tej kuchni i że tam powinien już kto inny iść (istniały i tu salonowe zagrania. No, krótko mówiąc, chciał mnie wyrzucić.

Doktor Kownas mówi: Wiesz, ja jestem za słaby, ja z nim nie mogę walczyć, bo to jest ważna osobistość, no więc trudno, musisz iść na te ogólne roboty. To się nazywało obszcze roboty. Na to ja: Panie doktorze, dziękuję za to, co pan doktor dla mnie zrobił i idę. Mało tego. Ten nariadczyk chciał się na mnie zemścić i mnie spisał do karnej brygady. No i znowu tu jest paradoks, bo karna brygada była dużo lepsza niż normalna brygada. Bo w karnej brygadzie było tak: byli sami złodzieje albo bandyci. I to były urki, które miały lewe ręce, więc oni w ogóle nie pracowali. Ich szef był ober-urka, więc jak ~~pr~~ przyszedł do tej całej kantory, do biura gdzie naliczali, to musiał mieć najwyższe kotły, bo inaczej by ich tam porzwał nożem. Więc najwyższe kotły myśmy musieli mieć bez względu na to, co robiliśmy. A ponieważ podstawą była nie robota, tylko jego przyjsie do kotków, myśmy mieli kotły najlepsze a nie robili nic. Czasem poukładaliśmy tam jakieś deski, takie coś. A zasadniczo oni w nocy kradli, ja widziałem. Oni raz obrobili taki duży skład mąki, a jeden zaz napadli na taki magazyn paczek. Okna były zakratowane, oni normalnie wędki zrobili - na takich kijach haczyki, te paczki poprzyciągali. Okna ni ruszyli. Do mnie jako do frajera odnosili się bardzo dobrze. Praca na kuchni jest dosyć śliską pracą w obozie. To jest oczywiste. Naokoło jest kupa głodnych ludzi, jedzenie jest bardzo ważne i ktoś siedzi i ma jedzenie pod sobą. Więc to już jest praca dosyć konflikto- wa. Ja znam przypadki - i to nierzadkie przypadki - że kucharze dostawali nożem w plecy i ginęli. Tak zginął mój kolega, bardzo dobry kolega z Wilna, Stasiu Klus, bardzo dzielny partyzant. Nie taki papierowy partyzant jak ja, tylko naprawdę bardzo dzielny. Chwycili go w Wilnie z rewolwerem i on mimo tego że go chwycili z bronią w rękę do niczego się nie przyznał. Nic mu nie udowodnili i dostał tylko 3 lata, za broń tylko dostał. Bardzo się dzielnie zachowywał. I pojechał na Workutę, na Workucie był kucharzem. Tym błatnym ani różnym sukrom nie dawał nic i oni go wykończyli, zabili go nożami później.

Już miałem potwierdzenie tego, że zginął. No, wracając do tych moich spraw. Chciałem powiedzieć, że kucharz to nie była bezpieczna praca. Do mnie urki też się przyczepiały. Tylko że ja im mówiłem: Nie mogę dać, bo gotuję na 20 osób. Oni na to: Jak nie możesz dać, bo rzeczywiście masz tylko 10 kawałków ryby i nie możesz całej ryby nam dać, to ty nam zacznij dawać zupę. Bo zupa też była lepsza zawsze dla chorych, były w niej ziemniaki nie mrożone (bo normalnie mrożone dawali, takie z lodu, słodkie), mięso renifera było w tej zupie, tłuszczu trochę więcej - normalnie w obozach tłuszczu nie dawali, tłuszczu kompletnie nie było - myślałem, co robić, cholera. Dam im zupę, Kownas będzie miał pretensje i słuszne, że go okradam, nie dam im zupy, to oni mnie przyuwają znowu i gdzieś mogą rąbać. Bo wtedy żartów nie było. Ale na kuchni pracował taki kucharz, to był Niemiec z Syberii, Miszka taki. On mi powiedział: Wiesz co, tyś jest głupi, taki frajer. Zawsze taki byłem zresztą, całe życie, ale zawsze spotykałem ludzi, którzy mi coś doradzali i bardzo często mi dobrze doradzali. Więc ten Miszka mówi tak: Z tą zupą to trzeba psychologicznie zagrać. Oni się patrzą, skąd im się leje. Bo normalnie leje się z kotłów. Są takie duże czerpaki i to widać. Z kotła do gara, ten gar się pod okienko przynosi. Natomiast ty gotujesz nie w kotle, a w garnkach oddzielnie na kuchni. Takich garnków mamy pełno. Oni będą przez szczelinę patrzeć, skąd im tę zupę lejesz, te urki. To taki (sam) garnek ci postawię koło szpitalnego, trochę więcej kaszy sypniemy, trochę oliwy pokapiemy, żeby tych oczek trochę latało i normalnie będziesz miał dwa garnki. Ten garnek, co dla chorych w nim gotujesz, zaniesiesz Kownasowi do szpitala, a urkom będziesz z drugiego dawać. Oni przez tę szparę patrzą tylko, skąd lejesz. No to będzie w porządku. I ja tak robiłem. Ponieważ było 10 urków, z którymi należało się liczyć, ja im co dzień dawałem tę niby szpitalną zupę nie okradając Kownasa. Bo tam 10 misek zupy, jak się gotuje na 300 osób, to jest nic, Oni nie mieli prawa do kotła szpitalnego

szpitalnego. Wychylali tylko głowy : "stacjonarny!" (szpitalny) - proszę bardzo! - i tę zupę im dawałem z garnka. Do czego ~~zniszczam~~ zdążam. Teraz, jak trafiłem do tej brygady karnej, to te urki pamiętały: aha, to jest ten kucharz, co nam zupę dawał. Znaczy, frajer, ale go ruszać nie trzeba, bo on był w porządku. No więc oni nic do mnie nie mieli. Pracowałem w tej brygadzie może trzy, może dwa miesiące. Nic specjalnie tam nie odczuwałem, bo żarcieśmy mieli. Pewnie że nie było to jak na kuchni, ale w każdym razie warunki były możliwe, praca nie była za ciężka, żarcie też było stosunkowo możliwe. Więc jakoś się trzymałem. Poza tym ja miałem zapasy ze szpitala - jeszcze ciała, jeszcze siły. Więc to był okres taki... Jakby tak jeszcze ze 3, 4 miesiące, może bym z powrotem doszedł do tej dochodziagi. Ale tak jeszcze się trzymałem. Pewnego razu wracamy z pracy, przyleciał do mnie do baraku więzień i mówi: Doktor Kownas czegoś od ciebie chce. No, myślę, dr Kownas czegoś chce - trzeba iść. Dr Kownas mnie poprosił do siebie i mówi tak: Wiesz co, tyś się już dosyć natyrał na tych ogólnych robotach, mówi, ja cię z powrotem biorę na kuchnię. Widzi pan, doktor pamiętał. Ten Ginsburg, czy jak on się nazywał, ten nariadczyk, on poszedł z tego obozu czy coś... Tylko nie będziesz teraz głównym kucharzem, będziesz pomocnikiem. No to ja mówię, dla mnie najważniejsze, żeby żarcie było, a czy ja będę pomocnikiem - ambicji takich nie miałem. Mówię: Bardzo dobrze panie doktorze, jeszcze lepiej.

No i tam był Azerbejdżanin kucharzem, a ponieważ ten szpital jakoś się rozrósł, on potrzebował pomocnika. Może nie chciało mu się za bardzo pracować w tej kuchni i mieszać tę kaszę - w każdym razie ja byłem później pomocnikiem kucharza. Podstawowy cel mojej pracy był wykonany, bo jedzenia miałem dosyć, a nikt się do mnie nie czeptał, bo ~~jak~~ ja nie byłem głównym kucharzem. Jak jakaś urka coś ode mnie chciał, to: Idź do tamtego kucharza, ja jestem tylko pomocnik... co ja mogę. Tak że miałem jeszcze lepszą, powiedzmy, melinę w tym czasie.

No i tak się znowu pięknie zaczynało, wydawało się, że znowu będzie fajnie. Ale w tym czasie zaczęto organizować... Aha, tu by trzeba powiedzieć, że to był koniec lat czterdziestych. No i zaczęły się pewne tendencje... w obozach zaczynało być trochę lepiej. To nie znaczy, że tam było jakieś strasznie aksamitne życie. Ale w każdym razie w porównaniu do tego okresu pierwszego, kiedy to przyjechaliśmy i śmiertelność była straszna, jedzenie było gorsze - trochę już się zaczynało poprawiać. Możliwe, że to była oszczędność materiału ludzkiego. Ale już się zaczynało troszkę poprawiać. Już nie było takiej nędzy. Na terenach Workuckich zaczęto w tym czasie organizować tzw. Reczłag. I oficjalnie się mówiło, że ten Reczłag to będą specjalne obozy o wzmocnionym reżimie. I do niego będą kierowani ludzie, którzy są szczególnie niebezpieczni dla władzy. W tym małym obozie, w którym spotkałem doktora Kownasa, wytypowano kilkanaście osób do tego Reczłagu. No więc ja musiałem być widocznie takim strasznym podejrzany, bo mnie też do tego Reczłagu wytypowano.

Miałem już wyrok. Wyrok dostałem po trzech latach pobytu w obozie, to znaczy od chwili aresztowania. Gdzieś koło 46 roku to było. Wezwano mnie do biura obozowego, tam mi pokazano papierek formatu połowy A4. Było napisane na maszynie, że tam taki to i owaki (było wymienione imię i nazwisko, imię ojca) został wyrokiem Osobowo Sowieszczania skazany na siedem lat. Ja wówczas powiedziałem: No dobrze, ale to sąd jakiś powinien być, ja powinienem coś usłyszeć, jakąś motywację wyroku. Nie będę tego podpisywał. Wtedy oświadczone mi: Nie musisz podpisywać, bo to jest tylko zawiadomienie że dostałeś... No i wtedy podpisałem, bo uznałem, że to i tak nic nie daje, faktycznie. To Osobielstwo to była tzw. trójka - tam były trzy podpisy. Trzy podpisy zaocznie decydowały o tym, że dostałem 7 lat. Paragraf był wymieniony: 58, 1A i 11. Izmiennik rodziny i grupowyj. 1A to było izmiennik rodziny (zdrajca ojczyzny), a 11 to była podpolnaja organizacja (organizacja podziemna nierejestrowana

58 to był w Rosji polityczny.] (wyrok) rosyjski dostałem, nie białoruski czy ukraiński. Federacyjna Republika. Litewska nie miała widocznie swojego kodeksu karnego.

Tak więc wytypowano tych 15 osób, dr Kownas jeszcze się tam ze mną serdecznie pożegnał. Zresztą ja doktora Kownasa serdecznie do dzisiaj wspominam, bo faktycznie od tego pobytu w szpitalu dra Kownasa został jakoś przerwany ten łańcuch pobytów w szpitalach obozowych do których, tak jak tu już wspominałem, co trzecztery miesiące trafiałem. Człowiek się trochę podreperował i znowu trafiał na ogólne roboty. Z moich obserwacji teraz, z perspektywa czasu, sądzę, że tak można było trać, no dwa, może do trzech lat. Krótko mówiąc, w końcu by człowiek musiał umrzeć. Co żu owijać w bawełnę. "Niej więcej w takich warunkach, jakie były początkowo w Workucie, pracując na ogólnych robotach - to gdzieś tak trzy, może cztery lata wyjątkowo można było przetrzymać, więcej nie. Potwierdzeniem tego byłby fakt, że w obozie workuckim myśmy w ogóle nie spotykali więźniów, powiedzmy z lat trzydziestych. Nie było tych więźniów. Ja jedynego człowieka spotkałem, który pracował w Białomorze-Kanał, na tym Białomor-Kanale. Bo ci ludzie już wymarli. Tutaj mi się kojarzą inne rzeczy. Wspomina Herling-Grudziński, jak on w 39 roku był w tych obozach w rejonie Archangielska, to spotykał mnóstwo ludzi jeszcze z lat trzydziestych. On spotykał mnóstwo ludzi, którzy już byli na granicy życia i śmierci. Wtedy jeszcze żyli ludzie z Białomorkanału on jeszcze spotykał ludzi z tych olbrzymich wywozek z 35, 36 roku. A myśmy ich już nie spotykali, oni już nie żyli prawdopodobnie. Już kto miał umrzeć to umarł. Bo to mniej więcej 3-4 lata... Może więc wtedy wszyscy byli "świeży" i dlatego takiej śmiertelności nie było. To chyba dość ważna rzecz. A on spotkał jeszcze tych ludzi, którzy byli na skraju wytrzymałości. Tak mi się wydaje, nie wiem, na ile to jest słuszne.

Skierowano nas do obozu reżimowego, należącego do Reczłagu.

To był obóz SZU 2. To był obóz duży - kilkanaście tysięcy więźniów. W obozie poprzednim (tu, gdzie był dr Kownas) było maksymalnie 700-800 osób. Ten obóz obsługiwał trzy kopalnie: dwunastą, czternastą i szesnastą. Były to małe kopalnie, nieporównywalne z kopalniami na Górnym Śląsku, przewidziane na okres egzystencji 10 lat - na Górnym Śląsku 50-60 lat. Tamte eksploatowały 2-3 pokłady. Co było odmienne na SZU 2 w porównaniu do tych obozów, w których przedtem przebywałem? Tam po raz pierwszy spotkałem katorżan. Przedtem wiedziałem, że katorżanie są, spotykałem ich w czasie drogi do pracy czasem, ale nigdy nie byłem w obozie wspólnie z nimi. Czym się wyróżniali. No właśnie. Kazio był katorżanem, Pras był katorżanem. To byli ludzie, którzy mieli wyroki większe niż 10 lat. 15-20 przeważnie. To były te wyroki katorżnicze. A jeśli chodzi o wygląd, to ubranie mieli takie same jak pozostali więźniowie (czasem może i lepsze), z tym że mieli numery naszywane na czapce, prawym kolanie i na plecach. Duży numer z cyfrą. Zasady numerowania podobne jak u samochodów: do tysiąca osób litera A, potem B i według grażdanki. ABWG - tak to szło dalej. Można było na tej podstawie obliczyć, ilu było katorżan w ogóle. Na pewno było ponad trzydzieści parę tysięcy, bo za moich już czasów spotykałem ludzi z drugiego alfabetu. Mieli przed literą dwójkę: 2A i dopiero numer. To znaczyło, że władza już wyczerpała te pierwsze trzydzieści parę tysięcy i wprowadzali drugi alfabet. Jeśli chodzi o warunki pracy i wyżywienie, to o ile się orientuję nie było różnicy między katorżnikami a zwykłymi więźniami. Zeki przeważnie mieli 10 lat. Później jakoś katorżanie przestali napływać już, nie wiem, w którym roku to było dokładnie, ale już w Reczłagu jak ja byłem, to nowych katorżan nie było. Natomiast potem przychodzili ludzie tu z okolic Grodna, z okolic Brześcia - przychodzili młodzi chłopcy, nie wiem dokładnie, za co zesłani, ale jakoś polityczni przychodzili. Więc musieli widocznie czy to jakąś działalność czy partyzantkę prowadzić już po wojnie, bo ok. 47-48 roku

zostali aresztowani. I oni dostawali wyroki już nie katorżnicze, tylko dostawali dwadzieścia, pięć i pięć (25 + 5 + 5) . To znaczy 25 lat obozu, 5 lat wysyłki i 5 lat porażenia praw. Więc mimo że katorżniczych nie mieli, dostawali jeszcze większe wyroki niż katorżanie. Co mnie jeszcze zaskoczyło w tym obozie... A więc katorżanie i następnie to, że obóz był duży. W takim dużym obozie nigdy przedtem nie byłem. Następna sprawa: w tym obozie było bardzo dużo Polaków i to było dla mnie zaskoczenie. W SZU 2, trudno powiedzieć, ale sędzę, że przynajmniej 100 osób było Polakami. I tu o tych Polakach trzeba trochę powiedzieć, bo wcześniej takiej dużej grupy Polaków nie spotkałem. Na razie, na początku jeszcze to dosyć dużo Polaków było. No ale to był początek, to był jeszcze szok - to wpływało na to, że Polacy nie tworzyli jeszcze jakiejś wspólnoty. Tu Polacy w obozie mimo różnych poglądów na różne sprawy stanowili dość zwartą grupę. Na SZU 2 to już byli łagiernicy starzy i w moich wspomnieniach pozostało wrażenie jakiejś takiej właśnie silnej wspólnoty. Wyrażało się to w tym, że może nielicznymi wyjątkami, ale na ogół Polacy byli bardzo solidarni i bardzo sobie pomagali.

- Czy analogiczne grupy solidarnościowe były wśród innych narodowości?

- Więc na pewno wśród Żydów, których było stosunkowo mało. Wśród Ukraińców też, tylko może nie było to tak wyraźne, bo Ukraińców było bardzo dużo. I Litwinów. A Polacy byli średnią grupą, nie bardzo małą. Żydów było, powiedzmy, kilkunastu, a Polaków 100-150, więc to była większa grupa, więc było widać ten związek. A Ukraińców, Litwinów było znowu dużo, więc trudno mi powiedzieć, jak to wyglądało. W grupie średniej, polskiej, było to bardzo wyraźne. Na czym to polegało? Przede wszystkim Polacy, ci którzy już od dawna byli na tym SZU 2 mieli stosunkowo dość dobre układy z kierownictwem obozu. Część tych ludzi, jak np pan Franciszek - pracowało w biurze. Znał dyrekcję

kopalni. I dzięki temu oni mieli możliwość bardzo ważną: potrafili szukać lekkiej pracy dla Polaków. To była pierwsza, podstawowa rzecz. I oni to robili. Z tej setki Polaków to naprawdę nie więcej chyba jak 10, 15% pracowało fizycznie, na obszczych, ogólnych robotach. I to na ogół fizycznie pracowali ~~ji~~ ludzie tacy jak np. cieśla z Wilna, który pracował przy obudowie - ta robota nie była dla nich zbyt ciężka, byli zahartowani w pracy fizycznej. A ta była zbyt ciężka, uciążliwa szczególnie dla inteligencji, szczególnie dla młodych chłopców, którzy nigdy fizycznie nie pracowali. Więc jeśli nawet Polacy pracowali fizycznie, to niezbyt ciężko. A tak - to głównie w obsłudze. W dziale głównego mechanika. Hendasz pracował w dziale kontroli technicznej.

Szczególnie z do dzisiaj trwającym sentymentem wspominam dwóch ludzi z SZU 2: nieżyjącego już pana Mariana Swierczyńskiego i pana Franciszka Króla (oby żył jak najdłużej). Byli to ludzie starsi ode mnie, w wieku mniej więcej moich rodziców. Trudno jest w kilku słowach powiedzieć, czym ci ludzie byli wtedy dla mnie, a sądzę, że nie tylko dla mnie. To były jakieś postacie, które nas, i starszych i młodszych w jakiś sposób trzymały. Na duchu ale i fizycznie. Bo potrafili o jakiś dodatkowy kawałek chleba dla nas się wystarać, co było nie bez znaczenia. I co bardzo ważne, obaj mieli jakieś tam powiązania wśród kierownictwa kopalni i dzięki temu potrafili się starać o lżejszą pracę. Te dwie rzeczy : jedzenie i lekka praca (w kółko to samo powtarzam) to była podstawa przeżycia obozu.

Gutry był najmłodszy, ja byłem o rok od niego starszy. On był 27 rocznik, ja 28. Gutry był takim szczególnym pupilkiem, bo był najmłodszy, zresztą był bardzo sympatyczny. Zle bym powiedział, że jakieś różnice robili, bo pomagali wszystkim, komu się dało. A do nas, pacyków, odnosili się z jeszcze bardziej ojcowskim uczuciem.

Z początku, ponieważ to była pierwsza kopalnia, w której miałem

pracować, zgodnie z przepisami radzieckimi, byłem skierowany na tzw. techminimum, czyli po prostu zapoznanie się z pracą w kopalni, z warunkami kopalni. To trwało około tygodnia, prowadził takie zajęcia, głównie pod kątem BHP, naczelny inżynier kopalni. Po tym tygodniu przydzielono wszystkich tych ludzi do poszczególnych oddziałów dołowych. Poszczególne osoby ten naczelny wyczytywał, a na samym końcu zostałem ja. Nie wyczytał mnie do żadnego z oddziałów, do dziś nie wiem, dlaczego. W każdym razie kazał mi za sobą iść, ja z nim w ogóle nie rozmawiałem, szedłem posłusznie za nim. Zaprowadził mnie do lampiarni, tam gdzie przygotowują światła na dół. Elektryczne, bo kopalnie były gazowe. Karbidówek nie było. Praca w lampiarni jest bez porównania lżejsza niż na przodkach. Naczelny inżynier porozmawiał z szefem tej lampiarni, że ja tam mam pracować i tam pracowałem. Do dziś nie wiem, dlaczego. Bo to była przecież, mówiąc po łagiernemu p o błatu - po znajomości praca. To tylko znajomemu się załatwiało taką pracę, albo za coś. Ja tego naczelnego w ogóle nie znałem, przypuszczam (tak mi się zdaje), że on wiedział, że jestem Polakiem, a sam był Żydem i miał żonę Polkę. Tak jak wiem, odnosił się z sympatią do Polaków. Prawdopodobnie to było przyczyną, że mi dał lepszą pracę. No bo praca na dole na przodkach w kopalni była bardzo ciężka, bez dwóch zdań. I nawet jeśli jedzenie nie było takie straszne, to taka praca mogła być przyczyną tego, że człowiek słabł. Pracowałem tam trochę w tej lampiarni przez parę tygodni, ale znalazł się ktoś, kto miał lepsze dojskie i wkrótce mnie z lampiarni wywalono. Ale już pracowałem w dziale wentylacji (bo lampiarnia włączona była do działu wentylacji) - więc nadal pracowałem w dziale wentylacji, co już było lżejszą pracą. Dział wentylacji ustawiał wentylatory, lutnie przewodzące powietrze - więc była to praca wprawdzie trochę gorsza niż w lampiarni, ale bez porównania lepsza niż na przodku z łopata. Tam pracowałem parę tygodni, a międzyczasie pan Franciszek załatwił mi skierowanie na kursy tzw. gazomierszczyków. Po polsku to się nazywa w kopa-

lni metaniarz. To są ludzie, którzy chodzą z lampami benzynowymi na dole i mierzą zawartość metanu. Praca bardzo lekka, bo polegająca tylko na chodzeniu i zupełnie bezpieczna. I lekka. To nie tak, jak tam w Wieliczce pokazują. To było na kopalni numer 12, kierownikiem tych metaniarzy był Ukrainiec. Trochę mi się nie za bardzo układało, więc z panem Franciszkiem się domówiłem, żeby mnie przenieść na kopalnię numer 16. A na tej kopalni numer 16 brygadzystą, szefem, któremu podlegali metaniarze, był Polak, Józik Mazic, który mieszka obecnie w Chorzowie. Ten Józik był (jest, nie był, tylko jest, bo, chwała Bogu żyje) był wyjątkowo sympatycznym, serdecznym i co jeszcze ważne, zaradnym chłopakiem. W brygadzie u niego miałem bardzo dobrze. Jak wspominać najlepszych dwóch brygadzystów, to wspominać zawsze tego Martyniuka Białorosina, a Józika jeszcze na pierwszym miejscu stawiam. Bo nie dość, że mi pomagał, ale był jeszcze naszym chłopcem z partyzantki, Polakiem dzielnym, odważnym. I pomagał mi znowu i w jedzeniu, tak że miałem tych protektorów, mecenasów trzech, bo pana Mariana, pana Franciszka i Józika. Wszyscy mi serdecznie pomagali. No, oprócz tego Józik był moim - w jakiś sposób - szefem, zależałem od niego. Józik brygadę miał międzynarodową, bo miał Litwinów, Łotyszów, Ukraińców, Estończyków, ja byłem jedynym Polakiem u niego, ale on różnic specjalnie nie robił. Miał mir, poważanie i u podwładnych i u zwierzchników. Józika serdecznie wspominać. Był katorżaninem, miał 15 lat, spod Wołkowyska był chłopakiem, z bronią w ręku się dostał do więzienia.

Na SZU 2 to już był ten okres, kiedy - jak to wspominałem - w obozach zaczynało się trochę lepiej. Jedzenia było troszkę więcej i - jeśli chodzi o sprawy higieniczne, mieliśmy już, co było nie do pomyslenia kiedyś - prześcieradła, pod dostatkiem mydła. Można się było w łaźni umyć czysto, bieliznę nam zmieniano co tydzień. Już były warunki, można powiedzieć, względnie ludzkie. Była biblioteka. No, pie-

niędzy nie dawano jeszcze w tym okresie, dopiero później zaczęto dawać. W każdym razie bezwzględnie warunki się poprawiły. Następnie: tam byli Polacy, pomagali. Następne było to, że kryminalistów było bardzo mało w tym obozie, to miało duże znaczenie. Jeśli chodzi o błatnych, o świat przestępczy, to spotykałem się z nimi w tych obozach poprzednich. To było duże zaskoczenie, bo człowiek normalnie z takim światem się nie spotykał. Nie mogę podać wielu szczegółów odnośnie tego świata przestępczego. To co pamiętam: świat przestępczy był rosyjski (bo to byli głównie Rosjanie, choć nie tylko, bo i Gruzini i Ormianie, przedstawiciele wszelkich narodów Związku Radzieckiego), gros to byli Rosjanie, Ukraińcy. Dzielili się w obozie na dwie grupy: na tzw. czesnych worów (czesnyj wor czyli uczciwy wor) i sukł. Na czym polegała różnica? Czesnyj wor to był złodziej, przestępca, który przestrzegał etyki przestępczej. To znaczy: podstawowymi przepisami etyki przestępczej w obozie było m.in. to, że w obozie mógł czesnyj wor albo w ogóle nie pracować, albo pracować na pracach ogólnych. Miał tylko dwie możliwości. Jeśli potrafił sobie tak ułożyć życie w obozie, że nie musiał pracować - w porządku, nikt się do niego nie czepiał. Jeśli musiał z tego zrezygnować i poszedł "na łopatę" mówiąc niepoprawnie po polsku czyli na pracę najbardziej prymitywną, też był w porządku, dalej był uważany za uczciwego. Natomiast bardzo wielu ludzi ze świata przestępczego było brygadzystami, dziesiątnikami, czali pracowali w roli, jak to się często w obozie mówiło, p r y d u r k ó w . Prydurek to był ktoś, kto pracował na lekkiej pracy. Nie obejmowało to kucharza. Nie wolno im było być kucharzami, to było u nich w zakonie. Kucharzy błatnych nie spotykałem. Bo on nie mógł wszystkich wykarmić a nie miał prawa odmówić.(...) Nie jestem pewny...Ale na pewno nie wolno im było być dziesiątnikami, brygadzystami, nie wolno było być we władzy. Tak samo nie wiem, czy wolno im było w kantorze pracować. Prawdopodobnie było tak ostro: albo w ogóle nie pracować, albo przy łopacie. Te dwa

dwa punkty na pewno. Co poza tym było...W przepisach tzw. zakonu, w ich prawach...to była swoistego rodzaju etyka. Jeśli chcieli kogoś zabić - nie wolno było śpiącego. Trzeba było obudzić i dopiero wtedy zabijać. To był jeden z podstawowych przepisów błatnych. Tak. To byli błatnyje. Czesnyje albo błatnyje. I sukū. Co jeszcze o nich powiedzieć. Jakiś czas spałem w obozie, tak że mogłem obserwować ich głównego herszta. Bo normalnie było tak, że ktoś w każdym obozie z tego środowiska był uważany za szefa. To nieraz było dosyć dziwne, bo niejednokrotnie było tak, że wcale nie najwyższy, nie najsilniejszy, nie najbardziej krzyzący, tylko nieraz osobnik niewysoki, czasem kulawy jakiś, fizycznie nie za bardzo silny był szefem. Prawdopodobnie tu zalety ducha odgrywały większą rolę niż fizyczne, w tym sensie, że ktoś musiał mieć twardy charakter, być silnym, bezwzględny. Oni niekiedy dla pokazania tego co potrafią, robili różnego rodzaju eksperymenty, pokazówki. Pamiętam taki wypadek, gdy do nas do szpitala (jeszcze jak u Kownasa pracowałem) przyszedł złodziej, który sobie zrobił dwurzędówkę na żywo. Poprzyszywał sobie guziki na żywo. Jego chcieli przenieść do obozu, w którym panowały sukū. Bo były obozy opanowane przez sukū, a były opanowane przez czesnych. Jeśli taki czesnyj worczyli błatnyj, dowiedział się, że jest skierowany na etap do sukū - a podstawowym prawem rządzącym w tym świecie było to, że sukū mordowały czesnych, a czesnyje mordowali sukū - to były bardzo często okropne morderstwa, wzajemnie się mordowali. Wracając do tego, co sobie zrobił dwurzędówkę, guziki sobie poprzyszywał na żywo i dostał się dzięki temu do szpitala (to mu ropiało oczywiście) - jego chcieli skierować do obozu, gdzie panowały sukū. A to był czesnyj wor, więc on specjalnie to zrobił, żeby go zostawili. Nie wiem, co z nim potem dalej było. Co poza tym. Wielu z nich było narkomanami. Stąd ich zwiazki z lekarzami. Lekarze zawsze mieli dojscie do jakichś narkotyków. Jak już nie mogli prochów żadnych dostać, to przynajmniej robili strasznie mocną herbatę i tym się podniecali. No, w czasach, kiedy jeszcze

cze były mieszane obozy, to wiadomo było, że oni tam napadali na te kobiety i nieraz gwałty były masowe, tam się różne rzeczy działy, to było oficjalne. A poza tym w wielu wypadkach więźniowie kryminalni, a szczególnie bandyci, nie pracowali w ogóle. Potrafili sobie wyrobić, powiedzmy, taki autorytet, że straż obozowa wołała ich nie ruszać. Dla nich było lepsze, żeby taki ~~chodził~~ nie chodził do pracy, żeby siedział w obozie. Bo za zabójstwo obozowe (potem to prawdopodobnie zmienili) początkowo dawano trzy lata tylko. Często ci bandyci mieli wyroki po 20-30 lat, bo mieli składowe wyroki. Kary śmierci nie było. Dostał 3 lata za zabójstwo obozowe, a jak miał 30 lat, siedział do końca życia. No to sobie zabijał. Kogo zabijali...No, między sobą się różnili też. Były wypadki, że zabijali kucharzy, często zabijali donosicieli. To było częste, że czesnyj wor zabijał donosiciela. Pamiętam taki wypadek nawet z SZU 2 (a tam to było rzadkie, bo tam było mało kryminalistów). Był taki donosiciel, Niemiec rodowity, tu gdzieś spod Hamburga, na ile to prawda, nie wiem. I taki kryminalista go zabił. I później jak go zabił, przyszedł do nas, do baraku, pamiętam, jeszcze sobie kazał zrobić kawę, zjadł dobrze (jeszcze jakiś chleb miał), jak podjadł, poszedł sam na tę wachtę i zgłosił się. Mówi: tam pod dwudziestym barakiem leży trup, a tu macie siekiere. Oddał im siekiere, po co, mówi, macie szukać. Z takich spotkań z kryminalistami to pamiętam, kiedy (nie wiem, w którym to było obozie, zresztą nieważne) przyprowadzili nas do baraku z takim aptekarzem z Kowna, już nie pamiętam dokładnie, jak on się nazywał. Takie sympatyczny starszy pan był podejrzany w współpracę z japońskim wywiadem, co mi się wtedy wydawało bardzo śmieszne. A podobno nie było takie śmieszne, bo to Strumph-Wojtkiewicz wspomina, że wywiad japoński miał współpracę z Polakami. To tak nawiasem mówiąc. Ale on za japoński wywiad siedział, ten gość, tak przynajmniej mówił, co też trzeba brać przez sitko. Więc z tym panem aptekarzem przyprowadzili nas, pamiętam, do baraku i wskazali nam takie miejsce do spania na narach, a obok były nary tylko

parterowe (bo normalnie były nary na parterze i na piętrze), zasłony z bielutkich prześcieradeł zrobione. Tam siedział osobnik w wieku ok. lat czterdziestu, czarny jakiś, opalony mocno, o czarnej karnacji. Czyściutka, elegancka pościel biała...Później to już lepiej z pościelą było, ale myśmy wtedy na spodniach watawych spali, nie było pościeli ani nic. A ten sobie na czyściutkiej pościeli leżał, na materacu, na bielutkim prześcieradle, bielutkim prześcieradłem przykryty. To było coś nadzwyczajnego. Co się potem okazało. Myśmy podeszli do niego, a on takim łamanym ruskim językiem mówi: Aha, wy tu koło mnie będziecie spać. Dobrze, śpijcie, tylko ja nie lubię, żeby tu koło mnie śmierdziało, musicie się myć porządnie, żeby czystość tu była, jestem czuły. Tam mu jedzenie przynosili, tam dwóch czy trzech koło niego (skakało), tak jak król tam mieszkał. To był, okazało się, przemytnik opium, Irańczyk, ~~xx~~ złapany gdzieś tam na radzieckiej granicy. Bo tych Irańczyków dosyć dużo siedziało, oni przemycali opium do Uzbekistanu. I on miał coś siedmiokrotne zabójstwo. A więc już był królem, miał 40 czy 50 lat to już go się nikt nie czepiał. Nie tylko że na robotę nie wychodził, ale z baraku nie bardzo chciało mu się wychodzić. Tam przychodzili do niego, na harmonii mu grali. Jak się tak wspomina to coś niesamowitego!

Nieraz ci bandyci maltretowali więźniów. Potem były przypadki (później, jak płacili pieniądze), że kazali sobie haracz płacić. Każdy musiał płacić. Z tym że ja trochę wybiegam naprzód. Jak już byłem na wolności, to była kopalnia numer 25, gdzie pracowałem jako strażak, to nie był reżimowy obóz i tam dosyć wcześnie zaczęli płacić pieniądze i dosyć wcześnie ci błatnyje żądali od więźniów haraczów. Tylko że wtedy to był już czas, że więźniowie byli dobrze odżywieni, co ma duże znaczenie. Już nie bali się tak. Bo jak jest człowiek głodny i bity - no to się zgadza na wszystko. A to był okres, kiedy już zarcia było dosyć, pieniądze płacili i oni, ci więźniowie, się zorganizowali. Bo na jakieś sto osób było tych bandytów może 30-40.

I oni maltrtowali cały obóz. Minusem było to, że tam było strasznie dużo narodowości. Ale oni sobie zrobili O N Z. Przeestawicielei sobie zrobili z polskiej grupy, litewskiej, estońskiej, łotewskiej. Zrobili zebranie, na kopalni zrobili łomy, noże zrobili. Wybrali chłopców najmłodszych, najsilniejszych ze wszystkich grup. Tych bandziorów było ze trzydziestu. Jak się zebrało ze dwie setki tych zdrowych chłopców ze wszystkich grup z tymi łomami, to ich zagonili do jednego baraku i powiedzieli, że ich podpalą. No to oni strażników prosili, błęgal, żeby ich tylko z tego obozu wyprowadzić. Wie pan, co to znaczy organizacja! To zresztą Kaziu panu opowie o tych strajkach (nie wiem czy już opowiadał) bo ja już wtedy nie byłem w obozie. Ale wracając do SZU 2.

Jak wspominałem, warunki były tu lepsze, jedzenie, Polacy byli lepiej zorganizowani. Tam byli i lekarze Polacy, więc też pomoc dawali. Biblioteka była, rozdzielanie paczek było lepsze. W tamtych obozach jak człowiek dostał paczkę, to trzeba było albo zjeść, albo od razu rozdać, bo już na drugi dzień pan nie miał paczki. A tu, na SZU 2, była specjalna przechowalnia paczek. Jak pan dostał paczkę, mógł pan sobie codziennie z tej paczki coś trochę brać. Ukraińcy zorganizowali teatr, były drużyny piłki nożnej. To wszystko świadczy o tym, że już warunki w obozie nie były takie straszne. Pan Pras był trenerem piłki nożnej. Mówię to wszystko, żeby zaznaczyć, że te warunki już się zaczęły zmieniać. Nie było podstawowej rzeczy - wolności nie było. Ale jeśli chodzi o jedzenie, o pracę, to już było jednak możliwe. Bez porównania. Byłem 3 lata na SZU 2, z sześciu lat mojego okresu. Był ksiądz Kapusta, w łaźni pracował, mszę świętą odprawiał, komunie rozdawał tam po cichutku. Co jeszcze. Z takich ciekawszych osobistości na SZU 2 był taki pilot kanadyjski, który uciekł na własnym samolocie już po wojnie. Nie wiem, czy to Kaziu panu opowiadał. Uciekł na własny samolocie już po wojnie, tu go Rosjanie przechwycili. Z Kanady uciekł na samolocie myśliwskim do Związku Radzieckiego. On uciekł, był człon

kiem partii komunistycznej. Jak tu wylądował, legitymację pokazał, że jest członkiem partii komunistycznej. Oni powiedzieli: bardzo dobrze masz 10 lat. I od razu dziesiątkę mu dali. No. Był taki mężczyzna już wtedy, a dziecko z wojny hiszpańskiej. Bo w czasie wojny oni tych dzieci częściej przywozili do Związku radzieckiego. Nie wiem, czy on uciekać chciał gdzieś tam na jakiś statek w Odessie, w każdym razie temu dziecku, które wywieźli przed generałem Franko, też dali 10 lat. Wszyscy Polacy, którzy uciekali przez granicę wschodnią, dostawali dziesiątkę. Ze mną na wolności był taki pan, nazywał się Pichingier. To był Żyd, wiedeńczyk. On z mamą, jak był anschluss z Wiednią uciekali przez Czechosłowację i dostali się do Związku Radzieckiego w każdym razie. Ich nie aresztowali. Ona była jakąś działaczka komunistyczną chyba, ich, proszę pana, wysłali na Warkutę, tylko nie jako więźnia go wysłali, tylko po prostu chyba jako wolnego osiedleńca, a potem mu to darowali. On pracował u nas na kopalni, był szefem BHP i miał ciągle jeszcze paszport austriacki. Ożenił się z Rosjanką, i to jeszcze pamiętam, on mówi: Wiesz co, ja się tutaj ożeniłem, ja się chcę dostać na studia takie zaoczne, to ja sobie zmienię obywatelstwo. Bo ja do Austrii przecież nigdy nie wrócę, to sobie zmienię obywatelstwo. Bo na studia mnie nie przyjmą jako nie obywatela. No i zmienił sobie. W dwa tygodnie potem Austriacy wszyscy jechali. Pluł sobie w brodę jak nie wiem, boby go puścili, z tą żoną by sobie pojechał. No ale ja zbaczam...

[Z SZU 2 wyszedłem na wolność, z tym że oni na wolność nie wypuszczali, tę tak zwaną, tylko na osiedlenie - swobodnyje posi^elenie. I to było bez^sroczne posi^vlenie, bo ja się pytam: na ile?, a oni: Da, to jak z Moskwy przyjdzie, to wtedy cię zwolnimy...] Chce pan dalej? Wyszedłem na osiedlenie. Dzięki koledze dostałem adres (bo oni puszczali na osiedlenie i nie obchodziło ich nic). Tak trochę głupio było. Wyszedł człowiek z tego obozu... Znaczy, z początku to jeszcze na pieresyłkę. Nota bene na ten Pierwszy Kilometr - to była pieresyłka, taki obóz

rozdzielający. Na tej piresyłce byłem trzy dni. Dali mi tam taki kawałeczek papieru z fotografią, że jestem na wolnym osiedleniu, że wolno mi się poruszać w promieniu 20 czy 25 km. No i koniec. Idź w pierony. Józik mi się jeszcze postarał o taki kuferek drewniany, miałem tam dwa kawałki chleba, jedną zmianę bielizny i chyba rubla. I koniec. Z tym wyszedłem. Ciemno było, śnieg padał, mróz taki chwytał już powyżej 20 stopni. I miałem adres takiej rodziny polskiej, która obiecała (przez kolegów), że przez te pierwsze dni mnie przechowa, nocleg da. Poszedłem tam i tam i się okazało, że ci państwo wyjechali gdzieś, nie ma ich. Tacy Pietkiewiczowie, oni tu gdzieś są na ziemiach zachodnich. Co teraz robić? No, trzeba się pomodlić. Człowiek tę wiarę jeszcze jakoś zachował. Zaczynam sobie różaniec po cichu mówić, chodzę po tej Workucie. Do hotelu mnie nie przyjmą, drzwi zamykają, mróz 20 stopni. Tam były takie przypadki: kobietę z dzieckiem wyrzucili, normalnie przyszła na posterunek milicji i tam położyła to dziecko, musieli dać gdzieś locum. No, ja dziecka nie miałem. Co robić? Chodzę po tej Workucie i myślę tak w pewnym momencie - Matka Boska mi pomoże przecież. Słucham - dwóch ludzi mówi po polsku. Jak mówią po polsku to w porządku. Bo wie pan, jak potem człowiek Polaków spotykał, to było różnie. Ale jeszcze z tego obozu to zostawało tak: jak się po polsku odezwiesz, toś Polak i w 99 procentach każdy nam pomógł. Bez względu na to czy komunista czy nie komunista. To słowo P o l a k , p ó l s k i e - jakoś jeśli chodzi o mnie zawsze pomagało. Nie spotkałem się z tym, żeby mi Polak nie pomógł. To było jakieś bardzo piękne. Potem, już na wolności, może nie zawsze tak było. Ale w obozie, tuż po obozie, zawsze. Krótko mówiąc, jak usłyszałem te słowa polskie, myślę: to już nie zginę. No i oczywiście. Nikt mnie nie pytał, co ja jestem, kto ja jestem, skąd przychodzę. Nie masz gdzie spać, jesteś Polak - w porządku. To było dwóch panów. Jeden był weterynarzem, a drugi tu gdzieś z okolic Wilna, jakimś obywatelom ziemskim był, nie-ziemskim, w każdym razie z okolic Wilna pochodził. Oni byli

z okolic Wilna pochodził. Oni byli furmanami. Przy stajni mieli taki malutki pokoik, oczywiście dalię mi jeść, gdzieś tam jakieś szmaty mi rozłożyli. Dwa czy trzy dni u nich przesiedziałem. Potem już ci państwo Pietkiewiczowie wrócili, no i u nich siedziałem. Oni mieli pokoiczek malutki, trzy na trzy, trzy na cztery metry. Ta pani była w ciąży. Tuż przed rozwiązaniem. Byli bardzo serdeczni, mówili, żeby sobie spokojnie dobrą pracę znalazł, że oni mnie przecież nie wyganają. Naprawdę byli bardzo serdeczni. Ale ja myślę, co tu będę siedzieć, jak ona biedna już lada moment rodzi, mają malutki pokoik. Trzeba uciekać. Nie mam co im zawracać głowy. I pierwszą, jaka mi się zdarzyła praca możliwa, która dawała jedzenie, która dawała jakieś pieniądze i pomieszczenie - te podstawowe rzeczy - to myślę, jak pierwszą taką pracę znajdę to ją łapnę. No i był kurs strażakowch. I oni tak: pozwalali mieszkać w obozach w obozie najbliższym, z tym że była przepustka. Mieszkałem w obozie ale mogłem sobie wychodzić i dawali pieniążki. co było istotne, ja byłem bez pieniędzy. Pamiętam, takie kawały masła jadłem, bo to człowiek był wygłodzony. Spuchłem, bo niby ja tak opowiadam, że było jedzenie (w obozie). No było, ale takie, że człowiek nie padał, ale to nie było normalne jedzenie. A tu takie kawały masła, bo to w sklepie można było kupić. Człowiek żarł i żarł i nigdy nie mógł się najeść. Chleba nigdy nie kupowałem kawałka, tylko bochenek, bo to ciągle się wydawało...taki strach...że to można i taka przyjemność, wie pan, że chleba całego nie zjem, tylko kawałek. Aha, jeszcze mam drugi kawałek, to zostanie. To było coś nadzwyczajnego. Kto nie był głodny, ten nie zrozumie.

Te kursy strażakowch skończyłem, posłali mnie na robotę do kopalni. No, robota niby nie była ciężka, ale taka trochę śliska - tego strażakowego.No bo to się materiału wybuchowego dużo dostawało. Człowiek nie mógł tego wszystkiego wystrzelać, był zmuszony po prostu dawać więźniom.Żeby oni strzelali. To się w przodkach wierci

dziury, wsadza się ten materiał wybuchowy i w ten sposób się urabia tę caliznę. Jeśli by ktoś schwycił więźnia z materiałem wybuchowym (kto mu dał?) - można było dziesiątkę dostać. Wentylatory były bardzo paskudne, gaz taki (to są tlenki azotu, to się wdychało), człowiek kaszlał, prawie że wymiotował. Myślę sobie: trzeba uciekać z tej pracy. No bo nie podobało mi się. I potem się stworzyła możliwość pracy w składzie materiałów wybuchowych. To już była dużo lepsza praca, lekka, tylko się wydawało materiały wybuchowe. I było bardzo fajnie, bo się na dobę zjeżdżało na dół, a potem dwie doby były wolne.

Pracowałem tam, na wolności spotkałem Stenię, spotkałem pana Mariana, panią (z Gdańska, Zuba się nazywała) obecnie Muszyńska. No i tam było takie kółeczko Polaków. Znowu spotykaliśmy się razem. Był ksiądz Drzepecki, już było przyjemnie. Wie pan, już była swoboda, już człowiek miał własne mieszkanie, już mógł się normalnie ubrać, normalnie zjeść, wina było dosyć - można było wypić nawet.

- Ile pan zarabiał?

- Wie pan, już teraz nie pamiętam, ale w każdym razie na jedzenie mi wystarczało i na ubranie wystarczało. Ile to mogło być wtedy... ja wiem? - chyba z 800 rubli. Na jedzenie i ubranie starczało. To były jednak dołowe stawki. Pan Marian pracował na maszynie wyciągowej, pan Franciszek gdzieś w biurze pracował na kopalni 18, chyba w normowaniu, już teraz dokładnie nie pamiętam. Takie tam wieczorki pan Franciszek organizował, coś czytaliśmy, literaturę polską. Z Polski przychodziły gazety, Przekrój przychodził. Wreszcie miałem kontakt bezpośredni z rodzicami. Przesyłali mi książki do nauki. Człowiek coś tam matematyki, fizyki powtarzał, uczył się. Wigilie się wspólne urządzało, takie jakieś namiastki normalności były. No i trwało to mniej więcej trzy lata. Jak już wspominałem, wątpiłem, czy wróce do Polski, myślałem, że to się już nigdy chyba nie zdarzy. Stenia się dzielnie zachowywała i te inne panie też. Twierdziły, że wrócimy. Stenia tam w laboratorium pracowała, miała też dobrą pracę. No i tak... Tam na wolności spotkaliśmy parę rodzin takich, które były na osiedleniu od początku.

I to były rodziny, często małżeństwa z dziećmi. Tacy państwo Jackie-wiczowie byli, państwo Weberowie (może pan spotkał), u których był jeden z punktów spotkań. Na Rudniku mieszkali. Ja więcej z Jackiewi-czami żyłem, oni tu w Chrzanowie mieszkają. Z Weberami mniej, tam Stenia do nich częściej chodziła i do Workuty jeździła, tam była wie-sza ilość Polaków. Ja tu głównie z panem Franciszkiem i panem Maria-nem więcej kontaktu miałem, z księdzem DRZepeckim. Było troszkę lżej człowiek na nartach jeździł... No i trzy lata tak było i ciągleśmy się dopytywali...Wyszedłem z obozu w grudniu 1951.

- Jakie były pana obserwacje zachowań w obozie w związku ze śmie-rcią Stalina?

- Śmierć Stalina ja przeżywałem już na osiedleniu. Ja już w obo-zie jej nie przeżywałem. Były już potem w obozach strajki, o straj-kach nic panu nie powiem. Wie pan, ja w Workucie byłem i niewiele o strajkach wiedziałem. Bo w tym obozie, gdzie ja byłem - strajków nie było. Znaczący, w tym obozie, który obsługiwał tę kopalnię, gdzie ja pracowałem. To nie był Reczłag, to była 25 kopalnia i oni już tam wcześniej mieli pieniądze. I tam strajków nie było. Ja się o straj-kach dowiedziałem później. Że strajkują, że ~~strajkują~~ - ludzie wie-dzieli, wiedzieliśmy, ale szczegółów nie znałem, bo w obozie (tym) nie było. Ja byłem 20 km. od tego miejsca, gdzie strajkowali. Tylko z opowiadań słyszałem, że strajkują. Ale dokładnie nie wiedziałem, c- co się dzieje.

Śmierć Stalina...No, więźniowie byli, powiedzmy, dosyć zdecy-dowani. Wreszcie skurwysyna trafiło, przepraszam za wyrażenie, to pan to skreśli. Więźniowie byli zdecydowani, bo przecież wiedzieli.. A na wolności to już była mieszanka, mieszanina. Część ludzi była, która przyjechała z Rosji, z Leningradu przyjeżdżali, z Moskwy - oni na ten temat bali się mówić, trzeba było uważać. Ja wprawdzie na wo-lności mieszkałem u takiego personalnego, wie pan, to myśmy nawet

Wolnej Europy z nim słuchali. On był z Kamieńca Podolskiego. Ale on się bał, nawet mnie się bał, chociaż wiedział, że ja nigdy...Ale mówi: Ja z tobą słucham, ale ja tylko specjalnie słucham co wróg mówi. Bo oni tak kłamią. No, nie szkodzi, mówię, słuchaj. I słuchaliśmy te Wolnej Europy, bo ja miałem radio. Tam było fajnie słyhać słabo zagłuszali.

I cóż dalej. Mogę opowiedzieć, jakeśmy wracali. To już trzy lata...Po trzech latach dowiedzieliśmy się, że już dają te zezwolenia. T⁴zeba tylko było mieć papierki z Polski, że rodzina zapewnia utrzymanie itd. No to myśmy to wysłali i później ta nasza trójka : pan Marian, Stenia i ja dostaliśmy to zezwolenie mniej więcej w jednakowym czasie. No więc straszna radość, że wracamy. No wreszcie, nie? Na kopalnię poszedłem, ale tam już nie było żadnych problemów, bo to już było rozporządzenie itd. Dyrektor kopalni, taki major NKWD wezwał mnie do siebie, mówi że mi życzy wszystkiego najlepszego, że się bardzo cieszy, że wracam do Polski i że jakby mi się w Polsce nie ułożyło, to on mnie zawsze do pracy przyjmie, bo się dobrze sprawowałem. Ja mu: W porządku, dobrze, dziękuję, do widzenia. Myślę, piórunka, żebym cię w życiu nie widział...

No i co...Pojechaliśmy na stację do Workuty, tam nas rodacy żegnali. Z tego pożegnania pamiętam, że...no, myśmy się oczywiście cieszyli, ci rodacy też, żartowali, klepali nas po ramieniu, do Steni wszyscy się śmiali, bo Stenię wszyscy kochali. Tzn wszyscy się się, się kochali w Steni. Żeby ktoś źle nie zrozumiał... Ale wie pan tak jak sobie przypominam z tego pożegnania: myśmy byli tam pierwsi. co jechali. I takie mam nawet dzisiaj wrażenie, nie wiem czy słusznie myślę, ale chyba tak - to była sztuczna wesołość. Nie to, że oni nam zazdrościli, oni się naprawdę cieszyli, że jedziemy. Ale wie pan jeszcze ci ludzie byli niepewni, czy aby oni też się doczekają takiej chwili. I w tym sensie byli oni, powiedzmy, w jakiś sposób spięci. Ja im się nie dziwię. Bo jakbym był na ich miejscu, kogoś tak

żegnał, to bym też tak myślał : No, chwała Bogu, jedziecie, no cięszę się, że jedziecie, ale czy mnie się uda? Mimo woli człowiek tak myśli.

Wsiadliśmy do tego pociągu, pamiętam, i jechaliśmy naprzód. Stenia była szefem naszym. Pana Mariana też zawojowała, więc pan Marian był w nią wpatrzony. Więc Stenia była główny szef. I Stenia postanowiła (też ją trochę oczerniam przy okazji - śmiech), że my nie jedziemy tam...aha, może to Stenia panu opowiadała - bo myśmy dostali tylko takie papierki, a powinniśmy dostać normalne paszporty zagraniczne upoważniające do wyjazdu do Polski. I te paszporty (to nam napisano), mieliśmy do odbioru w stolicy Komi, czyli w mieście, które się nazywa Syktywkar. Ono zresztą dalej jest stolicą Komi SSR, autonomicznej republiki. I Stenia powiedziała tak: Wiecie, ja mam znajomą w Uchcie, to jest niedaleko, bo ok. 300km od Syktywkaru, my tam pojedziemy do Uchty, zobaczymy się z moją koleżanką, tam nocujemy i stamtąd będziemy próbować jechać do tego Syktywkaru. No dobra, jak Stenia nam powiedziała, to my...Co Stenia nam mówi, to myśmy z panem Marianem słuchali. Jedziemy. Jedziemy sobie fajnie, tak elegancko, pociągiem. Tam oczywiście jeszcze ze trzy czy cztery kontrole były, dokładne, bo to jedyne miejsce, gdzie można uciec z Workuty. Albo samolotem, albo tak. Bo stamtąd na piechotę się nie ucieka. (O ucieczkach też by można powiedzieć, jak tam ludzie uciekali) Ja zresztą nie znam ani jednej, nie, znam jedną ucieczkę...Ludzie uciekali do Kotłasu, ale tam ich potem wymacali. Wieli proszę pana paszporty radzieckie, ale mimo to ich wymacali. Późtem powiem specjalnie o ucieczkach jeszcze, ale skończmy na razie z tym wyjazdem).Przyjechaliśmy do tej Uchty, tam nas koleżanka Steni pięknie przyjęła. Też malutki pokoiczek miała, u niej wszyscy nocowaliśmy. No, dobra. Teraz do tego Syktywkaru. Co się okazuje. To był maj 55 roku i jedyna droga, która prowadzi do Syktywkaru (bo to kolei nie było, tylko drogi), odcięta. Roztopy, rzeki

rzeki wylały, odcięty Syktywkar. Można się dostać tylko samolotem. No, dobra. Na ten samolot gdzieś po dwóch dniach dostaliśmy bilety, przylecieliśmy do Syktywkaru. Bardzo piękne miasto. Sliczny tam jest park - w lasach takich miasto jest położone. To jest miasto prawdopodobnie z tego jeszcze okresu, gdy handlarze futer mieli tam swoją osadę. Tak że stara cerkiew jakaś, stare domki takie drewniane rosyjskie, rzeźbione. Z tym że na głównej ulicy, gdzie urzędy, to już brzydkie te domy były. Ale te boczne uliczki to bardzo piękne. Te rosyjskie domy, bokiem ustawione do drogi - i to, co np. mają te wsie starowierów w Augustowskim - bardzo pięknie rzeźbione ganeczki, okiennice, takie fajne rzeczy. Wreszcieśmy to znaleźli (bo nie mogliśmy znaleźć tego biura, gdzie dają paszporty), wchodzimy tam, a ten lejtnant czy kapitan NKWD, co wydawał te paszporty, już wychodził, już kończył. No, dzięki Steni... Stenia do niego oko zrobiła, że "wiecie, my już musimy jechać..." Faktycznie, nam by chyba nie dał, ale jak na Stenię popatrzył, zmiękł i otworzył znowu to biuro. I wydał nam te paszporty. Myślimy: No, chociaż paszporty, to dobrze. Ale już nie mogliśmy wrócić. Zanocowaliśmy w takim hotelu (to był taki statek stary - olbrzymia rzeka, jakiś dopływ Peczory, dopływ dopływu Peczory, ale rzeka tak olbrzymia, że dwa razy szersza niż Wisła w Warszawie. A to jest dopływ dopływu Peczory, tam olbrzymie są te rzeki), więc przenocowaliśmy w hotelu i na następny dzień takim pocztowym samolotem poleciliśmy z powrotem do tej Uchty. Jak się do Uchty leci tam, to na tym odcinku około 300km. są chyba dwa osiedla. Tam, jakby ten samolot, przepraszam, mówiąc delikatnie - rąbnął - to koniec. Bo tam trzeba dosyć długo wylazić z tego...Kompletne pustki. Kompletne pustki...

przylecieliśmy do Uchty i teraz trzeba się starać na moskiewski pociąg. A na moskiewski pociąg to muszą być miejscówki, bo to jest dalekobieżny. Miejscówek w tej miejscowości nie ma. Co robić? Stenia czy w Uchcie samej czy pod Uchtą była w obozie i znała tam leka-

rza, starszego pana z żoną, który tam mieszkał. Tameśmy do niego poszli - to chyba był żydak, to nieważne. I ten pan mówi: Ale wy frajery jesteście, przecież wy tu nie dostaniecie miejscówek, wy tu będziecie miesiąc siedzieć. Tylko po znajomości się daje te miejscówki bo to jest bardzo ograniczone. Ktoś z was - mówi do mnie - pan nie jest taki stary przecież, niech pan wsiądzie do pociągu i pojedzie jedną stacją do tyłu. Najbliższa jest niedaleko, jakieś 30km. Tam pan wysiądzie, tam tych miejscówek jest wprawdzie mało, ale też mało kandydatów. To pan na pewno dostanie. My tak zawsze robimy. No i takeśmy się umówili, w porządku. Bo myśmy tak chodzili z początku chyba ze trzy dni i ciągle nam mówili, że nie ma miejscówek i nie ma. Dopiero Stehia przez tego znajomego... Pojechałem na tę stację, kupiłem miejscówki, przyjechałem, wszystko w porządku. Kupowanie tych miejscówek - to jest ciekawe, dlaczego o tym mówię. Bo jak kupiłem te miejscówki i wsiadłem do przedziału (przedział jest na cztery osoby, a nas było trzy osoby) tam już jedna pani siedziała. I o tej pani chciałem opowiedzieć, bo to jest dosyć ciekawa historia. Wie pan, czasami jest tak, że człowiek nawet obcemu człowiekowi zaczyna się zwierzać. Czasami jest taki moment. I jak jechałem jakieś pół godziny do Uchty z tej miejscowości, w pewnym momencie ta pani nagle zaczęła opowiadać swoje życie. Dosyć ciekawe to było życie. Ta pani wtedy mi się wydawała starsza, ja miałem dwadzieścia parę lat, ona tak ok. czterdziestki. Może miała czterdzieści parę. Jak się dowiedziała, że jestem Polak, to nagle rozmiękła. I mówi: Wie pan, ja w Polsce się urodziłam, w Tarnowie, jestem Żydówką, ale pochodzę z Tarnowa. Jak miałam gdzieś 8 czy 10 lat, to mój ojciec pojechał do Argentyny. W Argentynie poznałam mojego przyszłego męża, który był działaczem komunistycznym, działaczem Kominternu i myśmy w latach trzydziestych przyjechali do Moskwy. Mąż dostał wille, samochód do dyspozycji (musiał być dosyć ważnym człowiekiem). Ale , mówi, potem przyszedł 37, 38 rok, procesy, w każdym razie męża aresztowano i ze-

słano go właśnie do Komi. Mąż z początku był w obozie, potem na wolnym osiedleniu, pracował w rafinerii nafty - bo tam, w Uchcie jest dosyć dużo ropy. Jest też węgiel, ale są też złoża ropy - i w tej rafinerii był wybuch i mąż zginął. Parę miesięcy temu mąż zginął, a miesiąc temu ja dostałam z Moskwy rehabilitację. I teraz jadę do Moskwy. Zwracają mi mieszkanie i wszystko. Wszystkie te honory, co mąż kiedyś miał. Tak się chwileczkę zastanowiła i mówi: Wie pan, ja jestem zadowolona, że mąż zginął. Jak to, mówię, to pani męża nie kochała? Nie, mówi, bardzo kochałam męża. Ale, mówi, on jakby się dowiedział o tej rehabilitacji po tym wszystkim, co przecierpiał, to - ja znam swojego męża - on by im powiedział coś takiego, że oni by go z powrotem posadzili. To ja wolę, że on już nie żyje.

Potem Stenia przyszła i jechaliśmy dalej. W Kotłasiu zatrzymaliśmy się trochę, bo tam nie wiem, czy parowóz wymieniali, czy coś. W Kotłasiu wyszliśmy na dworzec, same urki siedziały, w karty różni i wódkę pili. Więc ja mówię : Steniu, chodźmy, lepiej tu nie stójmy, jak cię zobaczą... Polecieliśmy na taki targ. I na tym targu pierwszy raz zobaczyłem... Bo wsi radzieckiej nie widziałem. W Workucie nie ma wsi. Pierwsze osiedla są na południe w odległości jakieś 500-600km od Workuty. Tam był taki bazar z żywnością. Parę jajek ktoś miał, kawałek sera, masła... I ja się po raz pierwszy zetknąłem z tymi ludźmi. No więc tak ubranych ludzi to ja w życiu nie widziałem. W łapciach, i to w łapciach takich dziwnych, bo oni mieli szmaty na nogach obwiązane sznurkiem, a na tym nie łapcie właściwie, tylko kalosze. W tych kaloszach mieli zrobione dziury, sznurki poprzeciągane.. I tak ci ludzie wyglądali. I to w Kotłasiu, to jest stacja węzłowa! Pod stacją zaraz tak wyglądali ludzie. I nie było to zaraz powojnie był rok 55. Dziesięć lat po wojnie!

No i dojechaliśmy do Moskwy. W Moskwie znowu Stenia załatwiała. Tam miała matkę koleżanki obozowej, która nas przyjęła. A to jes

ryzyko przyjmować w Moskwie takich troje ludzi bez zameldowania, więc ona powiedziała tak: Słuchajcie, ja wam nie powiem, ale więcej jak jedną noc u mnie nie będziecie. Zresztą ja ją rozumiałem. Myśmy tam jedną noc przenocowali. Stenia nas zaciągnęła (bo Stenia miała ciągle pomysły), pamiętam, na wystawę osiągnięć rolniczych. Wsiesojuznaja jakaś tam wystawka. Jezus, Maria! Stenia była zachwycona, bo te marmury błyszczące, świecące, fontanny złote, brama była taka... Jak tam chodził człowiek po tych pawilonach, to zboże w takich snopach, jakieś śliczne owoce, zdjęcia, marmury... Do czego ja zdążam. Jak sobie przypomniałem tych chłopów tam w tych łapciach i zobaczyłem tę wystawę kapiącą złotem, to miałem dość. Potem nas Stenia zagoniła (bo Stenia cały czas była organizator) do Tretiakowskiej Galerii. I była Galeria Drezdeńska, bo w tym czasie Związek Radziecki galerię drezdeńską oddawał NRD. Ale jeszcze były ostatnie tygodnie kiedy była ta galeria wystawiona w Moskwie, a potem oni ją dopiero przekazywali. Tak że myśmy ją sobie oglądnęli. I w tej kolejce do tej galerii patrzę- jakiś człowiek dziwnie ubrany, bo w marynarce ze sztruksu. Ze sztruksu to jak ja byłem dzieckiem spodnie się robiło, marynarek nikt nie robił, nie pamiętam. W Związku Radzieckim ani w Workucie nikt ich nie nosił. Myślę: kto to taki jest? Patrzę, a on czyta Tuwima, ten ktoś. No tośmy zagadali do niego po polsku, a on mówi, że jest tutaj studentem. Myślimy: fajnie, Polak, nasz brat. Człowiek zawsze był nastawiony - jak Polak, to brat. Ale ten brat, widzę, był trochę czerwony. Bo on zaczął nam opowiadać, jak to w Polsce jest wspaniale teraz, jaka to jest wolność prawdziwa. Mówi: jak zobaczycie Pałac Kultury w Warszawie, jak piękny jest ten pałac, jakie tam są elementy sztuki ludowej w tym pałacu... już nie chcę mówić tutaj brzydkich wyrazów. Potem zobaczyliśmy go za jakiś czas. Więc to było pierwsze zetknięcie się z Polską, z Polakami. Ale potem mieliśmy wyjeżdżać, więc uradziliśmy wspólnie wszyscy, że teraz

trzeba pojechać do Ambasady Polskiej. Jedziemy do Polski, to trzeba się pokazać, zobaczyć Polską Ambasadę. Oni nas tam przyją, ucieszą się, powiedzą, gdzie mamy jechać itd. Fajnie. To była ambasada na ulicy Iwa Tołstoja, pamiętam, Iwa Tołstowo po rusku, 8 bodaje chyba. Nieważne. Taka mała uliczka, tam kiedyś ten wielki Rosjanin miał swój dom, mieszkał tam. No i tam była wtedy polska ambasada. Taka willa. Pięknie...No, orzeł, trochę łysy ale orzeł. Idziemy tacy zadowoleni do tej ambasady, mówimy, że właśnie jedziemy do Polski, że by oni nam poradzili, jak to mamy załatwić, bo wprawdzie mamy paszporty, ale nie wiemy dokładnie, czy jakieś formalności... A tam dwie panie (no, nie jestem antysemitą, ale to były Żydówki, trzeba powiedzieć, jak było), jak usłyszały, że my z Workuty! - "My nie wiemy nic, idźcie stąd, a co nas wy obchodzicie..." Wie pan, jak nam się wtedy przykro zrobiło, to był urząd polski i tak się do nas odnieśli. Co nas obchodzicie, to wy załatwiajcie sobie w urzędzie radzieckim. Co nas to obchodzi. Ten strach w oczach...strach - jak zadżumionych nas potraktowały.

No dobra. Tośmy poszli do Inturistu. W Inturiście nam normalnie ci urzędnicy powiedzieli, co mamy załatwić. Że to nic nie trzeba załatwiać, tylko kupić normalnie bilety do Warszawy. I już. Macie przecież paszporty, pieczątki, wyraźnie zaznaczone, że jedziecie do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, no i w porządku. Takeśmy zrobili. Poszliśmy na Białoruski Foksał, forszę jeszcześmy mieli (właściwie Stenia miała, bo ja przepuściłem), pan Marian i Stenia trochę mi pożyczycy, kupiliśmy bilety eleganckie, pierwsza klasa. Takie wagony były, pamiętam, produkcji węgierskiej, z jakimiś serwetkami, mięciutko. Tam jeszcze spotkaliśmy kolegę, który wracał z Narylska, wracał nasz brat. Jeszcześmy za ostatnią forszę w przejściu kupili wina, troszkęśmy tego wina wypili, śpiewaliśmy partyzanckie piosenki. Ja tam fałszowałem, Stenia dobrze śpiewała, pan Marian też nienajgorzej.

A z nami taki facet jechał, który był na delegacji z Chin. I on mówi: Wiecie, panowie, nie śpiewajcie takich piosenek, wiecie, że nie wszystko teraz w Polsce można śpiewać... Wy się nie orientujecie, jak to jest. Tak że troszeczkę nas zaczynał wprowadzać do tych aktualności. W Warszawie na pana Mariana czekała córka z Błonia. Pojechaliśmy jeszcze ze Stenią do pana Mariana, jeden dzień tam byliśmy. Ja nadałem telegram, bo mama z tatą mieszkali wtedy pod Bielskiem. No i przyjechałem. Po 11 latach zobaczyłem matkę, ojca, babcię jeszcze zobaczyłem (babci nie widziałem 17 lat) - popłakaliśmy się trochę, no bo wiadomo jak to jest...

Później chciałem iść na studia. Jeśli to pana interesuje, to jest ciekawy moment z tymi studiami. Mnie powiedziano tak. (Ja miałem wujka na UJ, trzeba przyznać, że trochę znajomości miałem, na biologii, a chciałem na geologię iść od razu. Wujek z kolei znał prof. Krajewskiego - to można mówić nazwiskami, bo to nie tajemnica wojskowa - który jest obecnie na emeryturze, znany profesor AGH w Krakowie, który znał rektora, znał dziekana śp. prof. Bocheńskiego.) Więc oni powiedzieli w ten sposób, że wczuwają się w moją sytuację, w moje położenie, wiedzą, że mogę mieć trudności ze zdawaniem na studia po takiej długiej przerwie - z tym że na dostatecznie muszę zdać. Bo jeśli nie zdam, oni nie poradzą nic. Natomiast jeśli zdam na dostatecznie, to rektor na rektorskim miejscu i uwzględniając moją sytuację - przyjmie mnie na studia. No więc sprawa była jasna. Tak mi powiedzieli. Zresztą oni załatwili to bardzo uczciwie. Później było tak, że repatriantów takich jak ja przyjmowali w ogóle bez egzaminu. Bo miałem tam kolegów później i na dzienne studia dostawali się w ogóle bez egzaminów. Ale oni rzeczywiście nie mogli nic zrobić - przecieraliśmy szlaki, tak że ci ludzie zachowali się bardzo w porządku i ja nie mogę mieć do nich żadnych pretensji, najmniejszych. Co mi mogli ułatwić, to maksymalnie ułatwili. I ja ten egzamin zdałem. Na dostatecznie. Nawet się dziwię. Ale to mi wystarczyło.

Z tym że matematykę musiałem jeszcze raz zdawać, ponieważ tylko bardzo dobry zwalniał od ustnego. Więc musiałem jeszcze raz zdawać. Ta pani była bardzo mądra, sympatyczna, pani matematyczka. Pani Praks-majer się nazywała. To pamiętam dobrze, bardzo miła. Ona jak się dowiedziała, gdzie ja byłem...Największe trudności miałem ze zdawaniem wiadomości o Polsce współczesnej. Ta pani mówi: Teraz mi pan opowie o...i jakieś pytania padały na temat Polski współczesnej, marksizmu, coś takiego. Ja mówię : Wie pani, ale ja pani nic nie powiem, bo ja kończyłem średnią szkołę taką, w której takiego przedmiotu nie było. A gdzie pan kończył? No to jej powiedziałem, gdzie kończyłem i dlaczego nie kończyłem. Ja się zresztą nigdy z tym nie kryłem. Jak ona się dowiedziała (była rozsądna pani), mówi: Wie pan co, to ja panu dam jakieś proste pytania, dam panu pytania na rozum. No, dała na rozum, ale ja też coś z tym rozumem nie bardzo, dosyć się myliłem. Był tam taki docent Gruszczyk, pamiętam, dziś nieżyjący, który dosłownie siadł koło mnie i mówi: Niech pan mówi tak, tak, tak i tak. Nawet nie próbował maskować tego, że mi podpowiada. Wówczas ta pani mówi tak: Panie docencie, nie dość, że pan podpowiada, to jeszcze pan źle podpowiada. A do mnie, że się wczuwa w moją sytuację, ani bardzo dobrze ani dobrze nie może mi dać, ale da mi dostatecznie, bo uwzględnia moje warunki. A ja: Nic więcej mi nie trzeba, dziękuję pani. Tak że egzamin miałem zdany.

I bardzo zadowolony pojechałem sobie nad morze, bo myślę: egzamin mam zdany, tam mam zaklepane, że jak zdam na dostatecznie to mnie przyjmą. Siedziałem sobie spokojnie w Orłowie, kąpałem się. W Orłowie jeszcze wtedy była czysta plaża. Siostra tam mieszkała. Bardzo zadowolony, bo to jednak takie odprężenie, nagle człowiek między swymi. To się nie da opowiedzieć. To trzeba być w Workucie 11 lat, a potem wrócić - to się wtedy dopiero wie. Ale nagle dostaję telegram od mamy (jeszcze wtedy tata żył, mama żyła) : "Natychmias wracaj, są komplikacje z przyjęciem na studia." Przyjeżdżam pod

Bielsko, ojciec mówi: Jedź zaraz do Krakowa, bo tam coś jest nie w porządku. Przyjeżdżam do profesora Bocheńskiego (zresztą ten pan, o którym wspomniałem, że zginął jako kucharz, zamordowany, to był kuzyn profesora Bocheńskiego; potem, gdy się z nim rozgadałem... Z Workuty? - zaraz pytał o tego kuzyna). Profesor Bocheński mówi: My pana przyjmujemy tak jak umowa stała - tak jest. Pan zdał na dostateczny. Ale czynnik społeczny nie chce pana przyjąć, chce z panem porozmawiać. Proszę bardzo, możemy porozmawiać. Siedzi taki śpik, przeprasza za wyrażenie (bo ja już wtedy miałem 28 lat a on chyba dwadzieścia parę) i mówi tak: A co pan w Związku Radzieckim robił? - W Związku Radzieckim byłem w obozie, a potem na wolnym osiedleniu. - Chm, to pan był kryminalistą? - Nie, jako polityczny... - Aha, jako polityczny... I pan chce się na geologię dostać... tam są tajne mapy, wie pan, plany... Na górnictwo to mógłby się pan ewentualnie dostać. Moglibyśmy pana przyjąć na górnictwo. Ale na geologię nie. - Ale, wie pan, mnie odpowiada właśnie geologia. Górnictwo mi nie odpowiada. - No to ja nie wiem, jak to będzie. - Ale ja wiem, że coś tu pan musi zrobić, bo ja właśnie wracam z Warszawy (a właśnie byłem po rozmowie z Konwickim - wtedy jeszcze nie był dysydentem, tylko był ustawiony, zresztą Tadzio, to muszę powiedzieć, chociaż był ustawiony, nigdy nie był świnią, przynajmniej w stosunku do mnie. Powiedział mi tak: słuchaj, jeśli jakikolwiek kacyk będzie w czymkolwiek ci przeszkadzać - a już był trend jest taki, że takim ludziom jak ty się pomaga. Więc jeśli jakiś kacyk... pisz do Warszawy. Ja jeszcze mam takie znajomości, że ci mogę pomóc. Nie wiadomo - mówi, co będzie dalej. Zresztą potem się sprawdziło, że dalej było inaczej. Jeszcze wtedy pałdziernika nie był ale trend już był). Więc mówię: Wie pan, ja wracam z Warszawy, w Warszawie odwrotnie mówią, że takim jak ja powinno się pomagać, a pan mi przeszkadza. - No ale wiecie... (per pan mi nie mówił) to nie jest takie proste. I zaczyna mi mowę trawę. - Przede wszystkim nie mamy żadnej opinii z miejsca pracy. - To ja opinię panu dam. - No dobrze,

jeszcze się zastanowimy. Po dwóch dniach zastanowienia powiedział właśnie, że on się ewentualnie zgodzi, ale żeby mu dać opinię. - W porządku, ja panu opinię dostarczę w ciągu dwóch tygodni. - Dobrze, dobrze, to są wakacje, jeszcze jest czas.

No więc napisałem do Workuty. A w Workucie na tej kopalni, gdzie ja pracowałem, przewodniczącym związków zawodowych był pan, który się nazywał Sienkiewicz. On był jednocześnie kierownikiem działu mierniczego. Był geodetą. To był syn wygnańca jeszcze z carskich czasów, z Tibilisi. Był jakiś czas w marynarce radzieckiej powołany jako kartograf, tu, na Bałtyku pływał. I oni z kumplem chcieli uciec do Polski, tu pod Gdańskiem niedaleko byli. Złapali ich i dostał dziesiątkę. A potem wyszedł na wolność i tam na Workucie mieszkał. Miał bardzo przystojną żonę, czwórkę dzieci. Po polsku już nie mówił chociaż jeszcze jak maturę zdawał to mówił lepiej po polsku jak po rosyjsku, ale rozumiał jeszcze wszystko. Ja mu tam książki polskie dawałem, a on jak ten latarnik sienkiewiczowski po nocach czytał te polskie książki. I był bardzo, tak rzeczywiście życzliwy. No, myślę sobie, w porządku: jak oni chcą opinię, to Sienkiewicz jest przewodniczącym Prawsojuzów (jak to się nazywało po rosyjsku, czyli przewodniczącym związków zawodowych) to on mi jakąś opinię powinien dać. I rzeczywiście - to było błyskawicznie. Chyba w ciągu dwóch tygodni dostałem taką olbrzymią bumagę, trzy pieczęcie z sierpem i młotem. Ze byłem stachanowcem, że byłem ndzwyczajny, jakimś tam wynalazcą, no, cuda powypisywane. Ja takiej opinii w życiu nie miałem i nie będę mieć. Więc ja tę opinijkę (a myślę: lepszej opinii to ja już nie mogłem dostać, już Sienkiewicz zrobił co mógł) niosę do tego szanownego pana, co mi się tak bał dawać książkę do ręki i mówię: -Widzi pan, tu mam opinię, a poza tym, wie pan co, jest mi bardzo niefajnie, bo pan się boi dać mi mapy do ręki, a Związku Radzieckim, gdzie siedziałem jako polityczny, to zaraz po wyjściu z obozu powierzono mi skład materiałów wybuchowych, w którym było kilka ton mate-

riałów wybuchowych. To mi Związek radziecki dowierzył, wy mi zaś w Polsce książki nie chcecie dowierzyć! A tu ma pan opinię! To co, już porządku? - Nie, jeszcze się zastanowimy. Ja mówię, fajnie. To jeszcze dwa dni poczekamy. Później się dowiedziałem, że oni jeszcze z tą opinią polecili do konsulatu radzieckiego, sprawdzić, czy to jest autentyczna opinia. Czy to nie jest coś sfałszowanego. Dopiero konsul radziecki im powiedział, że to jest autentyczna opinia i dopiero wtedy przyjęli na studia.

Później, jak już wychodziłem z AGH i wszystkie papierki brałem, to mówię: Dobrze, ale gdzie jest ta opinia - tu taką fajną opinię miałem, pod Matką Boską bym ją powiesił, bo to taka opinia fajna. A oni: Wie pan, jak był październik, to wszystkie opinie partia wzięła i spaliła, czy wyrzuciła. Tak się zakończyło moje przyjęcie na studia.

Jeśli chodzi o ucieczki z obozów workuckich. Na ten temat nie mogę za dużo powiedzieć, ale co wiem, to powiem. Ze znanych mi, dwie ucieczki znam, które się zakończyły niepowodzeniem. Raz w czasie purgi, czyli takiej burzy śnieżnej, uciekały dwie czy trzy osoby. Uciekały na nartach. I to bardzo pięknie, bo przejeżdżali pod budkami strażniczymi. Tak jest najlepiej: pod budkami strażniczymi. Uciekli, ale ich wkrótce dołapali. To dosłownie parę dni trwało. Co się z nimi stało, nie wiem. Wiem, że w pierwszych latach ludzi, którzy uciekali (może to nie była reguła) bardzo często strzelano. Strzelano, kładziono przed obozem i potem wszyscy musieli defilować. Pan Marian mi o takim wypadku opowiadał. Ja tego nie widziałem, ale podobno to było. Otyński, brat Tali Zarzyckiej w ten sposób zginął i leżał pod obozem. Tak zginął. Wiem, że tak było.

Następną ucieczkę to już widziałem osobiście, jak to się odbywało. Już byłem na wolności. To widziałem sam. Uciekał człowiek w ten sposób, że zrobił skrzynię bez dna. To znaczy skrzynię nie zamykana, powiedzmy. Do tej skrzyni wszedł sam (tam miał jakiś mały zapas żywno-

ci) i tę skrzynię umieścił na dnie wagonu, do którego sypano węgiel. Miał nadzieję, że go wywiozą za obóz, a później... miał jakąś pilkę czy coś, w każdym razie liczył, że jak węgiel rozładują, on się wy-dostanie. I ktoś go musiał zdradzić. Byłem już wtedy na wolności, wi-działem. W pewnym momencie ten jeden wagon odczepiono z zestawu, wła-śnie ten, w którym on siedział. I wyładowano. No i go znaleziono. Bo to normalnie było ta, że wagony odkryte jak wychodziła z kopal- ni (z zony, bo te kopalnie były ogrodzone drutami), to strażnicy mieli takie duże pręty żelazne, sięgające do dna wagonu, mniej wię-cej, Oni się liczyli z tym, że ktoś mógł się zasypać, prawda? Jak oni wbijali te druty, to natrafiali. Z tym że prawdopodobnie ów człowiek w skrzynce by przeszedł, bo to była niska skrzynka i on tam płasko leżał. Więc jeśli wagon ma te jakieś chyba ponad trzy metry węgla, to wyczuć taką półmetrową skrzynkę jest trudno dosyć i niewykluczone że on by przeszedł. Musiał go ktoś zdradzić. To widziałem. To były dwie ucieczki, które widziałem osobiście, a jeszcze była jedna ucie- czka, o której słyszałem. To była jedna z ucieczek lepiej zorgani- zowanych, uciekała grupa Rosjan w dosyć komfortowych warunkach. Bo oni mieli tak: zapewniony mieli zaprzęg reniferowy, mieli dokumenty, mie- li żywność i mieli ciepłe ubranie. Na tych reniferach zdołali do- trzeć do tych rejonów, gdzie już były osiedla. Tak mi opowiadano. Więc musieli przejechać ok. 500 km i mieli dowody osobiste podrobio- ne! Ktoś ich tam zdradził, jak opowiadano i oni też wpadli. Na ile to jest prawda, nie wiem. W każdym razie nawet tak dobrze zorgani- zowana ucieczka też się nie udała. Może były gdzieś udane ucieczki... nie wiem. Ludzie uciekali z obozów tutaj, z głębi Rosji, to ucieka- li. Rajftag uciekał. Ale z Workuty było dosyć ciężko uciec, bo ok. 500 km. było do pierwszych osiedli. Z tym że ludzie, którzy tam mie- szkali za złapanie więźniów dostawali nagrody. Więc to nie było pro- ste. Jediną łącznością z Workutą był samolot i pociąg. No a pociąg

był bardzo dobrze kontrolowany, to się trudno było dostać. A przejść te bagna było naprawdę trudno. Pięćset kilometrów! Mieć żywność i przejść!

No to tyle.